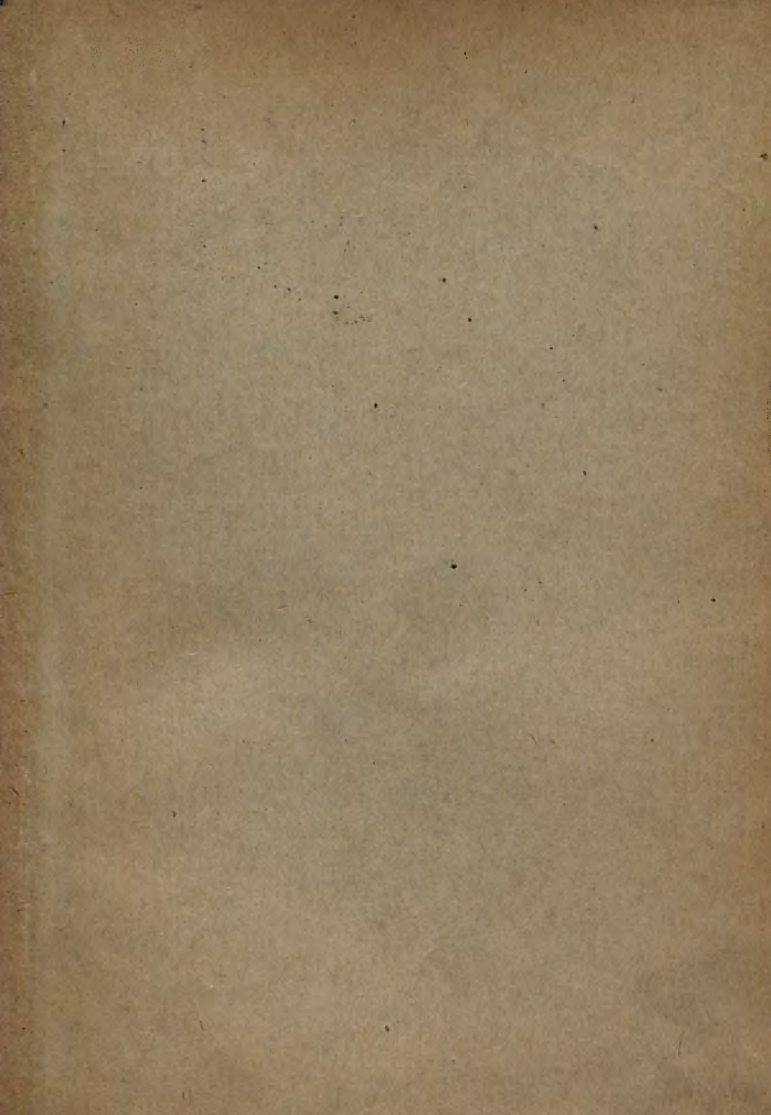






Q- 9049

A. 749.

STANISŁAW BEŁZA.

ZA APENINAMI.

(WIAZKA WSPOMNIEN PODRÓŻNYCH).

WYDANIE DRUGIE.

BIBLIOTEKA POLSKA

W RUMUNI

KRAKÓW.

G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

1890.

Bz 6103
2M 854 II

A 9049



51

I.

Z Warszawy do Wenecyi. — Nad modrym Dunajem. — Myśli
moje na Kahlenbergu i wdzięczność narodów. — Pontafel i Pon-
teba. — La bella Venezia. — Tu zima, tam lato. — To i owo,
o królowej Adryatyku.

„Italio, ziemio Boga, a ojczyzno dyabła“ —
mówilem sam do siebie, wsiadając z dozgonną
towarzyszką dni moich do wagonu kolei żela-
znej, mającej nas przerzucić z pod pochmur-
nego polskiego nieba, w kraj błękitu i złotych
blasków słońca. Czy ty wiesz, spieczona ogni-
stemi pocałunkami wspaniałej naszej gwiazdy
diennej, czy ty wiesz urocza i nikczemna, bo-
gata i nędzna, rozrzutnico i sknero przebrzydła,
czy ty wiesz o Italio nadobna, — jaki czar tkwi
w twojej ziemi, ile wrażeń przebiega z serca
do głowy na sam dźwięk twojego nazwania?
Czy ty wiesz, że o tobie ciągle marzy i artysta

z płomienną wyobraźnią, więzący na wążkiem płótnie cząstkę własnego swego ducha i kochanek goniący za ideałem, jakiego nie szukać na tej ziemi, i bogacz, niewiedzący co z groszem zrobić, który mu kieszenie przeciąża? O! ty nie wiesz o tem Italio, ty się o to nie starasz wcale, brudne i obdarte twoje dzieci raczej wstrętem niż powabem przejmują, mimo to lecą ku tobie, jak ćmy do światła, ludy północy i wschodu, choć jak ćmy w świetle, nie rzadko opalają sobie u twoich ognisk skrzydła. Lecą i lecieć będą bez końca, — boś ty ojczyzna sztuk nadobnych, boś ty rozsadnica cywilizacyi w czasach, gdy reszta świata w pomrokach chodziła nocy, boś ty kraj poezyi i nauki, blasków, woni i płomiennego słońca. Więc i ja lecę ku tobie o Italio urocza i uśmiechnięta, więc i ja chcę poszukać na twojem łonie eliksiru orzeźwiającego serce i umysł, a lecę nie sam, lecz w towarzystwie tej, której wobec Boga i ludzi, przysiągłem dopiero co, miłość, i w której białe ręce złożyłem z ufnością dopiero co, moją cześć. Lecę w towarzystwie tej,

która jak Beatrycza Dantego, ma mnie prowadzić ku doskonałości, której wątpy, kobiecie umysł nawzajem, ma się pod wpływem moim, rozwijać. - Przyjmże nas, o Italio czarowna, z gościnnością obcą opalonym twym dzieciom, roztocz przed nami obojgiem skarby nieśmiertelnego twego ducha, ukaż piękno, a w pięknie prawdę i dobro w pomnikach kultury twojej. A gdy wzbogaciwszy nasz umysł i uszlachetniwszy nasze serca, powrócimy do domowych ognisk, by tu, dla kraju naszego rozpocząć pracę, osładzaną rodzinną miłością, świeć nam jeszcze w wędrówce życiowej, jak gwiazda na pochmurnem niebie, byśmy w wspomnieniach twoich ideałów, wiarę w ideały czerpali!

Takie myśli snuły mi się po głowic, gdy dnia trzeciego Maja 1884 roku, opuszczał progi rodzinnego miasta, by wolnych od zajęć chwil kilka przebyć pod jasnym niebem Auzonów.

Wieczór był zimny i dżdżysty, wiatr ostry wiał biednym i bogatym w oczy, znosząc różnice, które ludzie dla odróżnienia jedni od drugich, powznosili, rad więc byłem, gdy wt-

lony w kąt wagonu i przykryty starannie pledem, siłą pary uniesiony zostałem daleko od rodzinnego mego grodu. Daleko! Tak jest, gdy bowiem pierwsze promienie rumianego jak twarzyczka dziewczicy słońca, zajrzały do okienka naszego, już byliśmy na granicy Królestwa, u wrót Rakuskiej Monarchii.

Powiedział ktoś, że Austria to Wiedeń — i nie omylił się pono bardzo. Monarchia ta, do dzisiejszego dnia tak silne piętno centralizmu na sobie nosi, że mimo zmienionych warunków bytu, cała w Wiedniu zdaje się być zamkniętą. Dość przejechać drogą żelazną od granicy do stołecznego grodu, aby się o tem namacalnie przekonać. Na przestrzeni kilkudziesięciomilowej, na linii najbardziej uczęszczanej, nie masz tu ani jednego większego miasta, gdyż Prerau na miano takie nie zasługuje. Jak polip, Wiedeń rozpuścił wszertz i wzdłuż swoje nogi i jak polip, wyssał wszystkie żywotne soki kraju. Ale też sam zato żyje syt i wesół, uśmiechając się puciołowatym obliczem mieszkańców swoich, gdy ulicznicy śpiewają głośno nad Dunajem:

„Es gibt nur a Kaiserstadt,
Es gibt nur a Wien“.

Syt i wesoły... Tak jest, — i ktokolwiek, kiedykolwiek, przejdzie się po ulicach tego miasta, ten przyznać musi, że Wiedeń zawsze i wszędzie przedstawia się z dodatniej strony. To też w tem a nie w czem innem, tkwi tajemnica tej siły, z jaką ciągnie on ku sobie obcych, z jaką ciągnąć ich bodaj czy nie zawsze będzie.

W liczmem też gronie przybyłych ze stron różnych do Wiednia, podążyłem osobiście i ja, po moim tu przyjeździe, na Kahlenberg. Znaną była mi ta miejscowość dobrze, ale pragnąłem naocznie przekonać się o wdzięczności mieszkańców cesarskiego grodu, dla pamięci wielkiego pogromcy Turków przed wiekami.

Wdzięczność i Wiedeń, — kto się chce o tem przekonać, niech tu przybywa, tu, na tę górę, z której Sobieski z swojemi zastępami, ujrzał blizkie upadku miasto. Niech przybywa i niech patrzy... Może dostrzeże pomnik spiżowy, uwieczniający piękne oswobodziciela rysy,

może kolumnę sławiącą jego czyny?... Niech patrzy! Nad wchodowymi drzwiami kościoła, skromnie i lekliwie bieli się niewielka tablica, zapisana od góry do dołu drobnym drukiem. — Cóż na niej stoi? Oto, że „z tych pagórków, Jan III-ci Sobieski, król polski, z wodzami i wojskami cesarza Leopolda, pociągnął na odsiecz Wiedniowi“. I nic więcej? Nic więcej. Nic, że on wojskami dowodził, nic, że on bitwę głównie wygrał, nic, że on oswobodził stolicę. Nie pominięto go na tablicy, bo go pominąć nie było można, ale sprowadzono do minimum jego wielką zasługę. Garstka Pigmei, rządząca dziś cesarskim grodem, targnęła się świętokradzką ręką na tego Tytana historyi i sądzi, że go ściągnęła na ziemię. Niech tak sądzi, — ale niech każdy kto tu przybywa, nie odchodzi od tej tablicy bez uczucia pogardy dla tych niskich i małych, do których tak wybornie daje się zastosować wiersz naszego poety:

„Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać, oszuka sam siebie“.

.
Dwie drogi wiodą z Wiednia do Włoch: na Tryest i na Ponteba. Pierwsza ponętna dla tych, którzy morza nie widzieli, druga ciągnie tych znowu ku sobie, co wdzięków natury pragną. Lat temu parę odbywałem pierwszą drogę, wjeżdżałem statkiem parowym do Wenecyi, za ledwo rozbudzonej ze snu długiego, dziś chciałem zoczyć drogę drugą, zwłaszcza że o powabach jej dużo się od turystów nasłuchiwałem. I nie pożałowałem tego. Droga Ponteba należy do najpiękniejszych dróg, jakimi kiedykolwiek zdarzyło mi się jeździć.

W czymże spoczywa ta jej piękność? Za ledwie pociąg kolei opuści małą pograniczną stację Pontafel, by powiedziawszy „do widzenia“ Austrii, wkroczyć w granice czarownej Italii, aliści ujmują go jak w uścisk serdeczny, dwa pasma gór niebotycznych i trzymają, darząc co chwila widokami godnymi pendzla najpierwszych mistrzów świata. Widoki bo też to jakich mało. Tu piętrzy się majestatyczna skała, gęsto przpruszona odwiecznym śniegiem, tam wdzięczy

się zielonemi barwy uroczy pagórek, przytulony do porosłej iglastym lasem góry, a środkiem tego wszystkiego, mknie szybko przeskakując z kamienia na kamień, wartka rzeka, tu i owdzie pokryta białą pianą, owocem kłótni jej własnej wody z zalegającemi jej łożysko głazami. Ta rzeka, wśród tych gór niebotycznych, wśród tych zieleni i wśród tych śniegów, zalegających wierzchołki skał łysych, — ta rzeka wijąca się to w tę, to w drugą stronę, jak taneownica w wirze skocznego walca i odbijająca w jasnem swem zwierciadle: lazur nieba, szkarłaty słońca i zielen drzew przeglądających się w niej miłośnie, ta rzeka, powtarzam, groźnemu krajobrazowi drogi Ponteba, daje taki wdzięk poetyczny, jak uśmiech, który rozpromienił w tej chwili właśnie twarz towarzyszek podróży mojej.

— Ach jak tu pięknie, jak tu uroczo — wołała ona ciągle, przenosząc się z jednej strony wagonu na drugą, by nic nie uronić, z hojnie rozsianych po drodze cudnych wdzięków przyrody.

Istotnie, jest tu pięknie i uroczo. Mimo że przebywamy te strony w samych początkach Maja,

wiosna kwitnie tu w całej pełni, mimo że tam w górach śnieg zdaje się wszystko śmiertelnie mrozić, tu na dole, wszystko żyje, uśmiecha się i rusza. Pędzimy lotem strzały niewstrzymani, ale pędzimy już w kraju słońca, blasku i niegasnącej zieleni, oddalamy się od stron drogich, ale pozostawiamy za sobą mgliste niebo, słotny czas i zimne wiatry. I nie żal nam tych stron drogich, nie żal sere, które tam w dali dla nas biją, olśnieni i przygłuszeni wdziękami natury, tak hojnie tu na tej drodze rozsianemi, nie myślimy o tem co było, o tem co będzie nie chcemy myśleć, żyjemy motylkowem życiem chwili, sądząc, że ona nam za wieki wystarczy. Żyjemy, — nie, wegetujemy, bo myśl mimowoli ciągle wyrывa się z tych stron czarownych, pędem iskry przebywa wody i lądy, przenosząc nas, rozkołysanych na miękkich wdziękach południa, w kraj własny, kraj północy i twardych warunków życia. — Tak Lapończyk wyrwany z lodów podbiegunowych, przeniesiony tam, gdzie się słońce wdzięcznie śmieje, choć podziwia to słońce i te uśmiechy,

tęskni przecież za ojczystymi strony i rad czasami zamyka oczy przed pięknosciami rozszanemi na jego drodze, by wzrokiem ducha ujrzeć, po długim niewidzeniu, rodzinne kąty...

Droga Ponteba ciągnie się długą linią. Do Pontafel przyjechaliśmy na wiele przed zmrokiem, a choć ciemności zalegały już dokoła, jeszcze przecież widniały po drodze góry. Nareszcie rozplynęły się w pagórki, rzeka gdzieś skierowała się w stronę i gdyśmy dojeżdżali do Udine, krajobraz był już dokoła płaski. W dali tylko, przy bladym świetle księżyca, świeciły tu i owdzie, szkliste na wyniosłościach punkta. Były to odwieczne płachty śniegu, żegnające nas dążących na południe, echem i wonią ojczystego naszego kraju.

.
To też, jeżeli śnieg leżący na skałach drogi Ponteba, przypominał nam od czasu do czasu, kraje zimne, gdzieśmy przecież pozostawili to, co mamy najdroższego na ziemi, piękna Wenecya roztoczyła odrazu przed naszymi oczyma, powaby i dolegliwości skwarne lata. Wjecha-

liśmy w jej bramy przed północą, gdy ta niegdyś królowa Adryatyku, drzemała sobie snem słodkim, pokryta lekką gazą gwiazdzistej nocy, a już ciepło dawało nam się we znaki. Cóż, gdy nazajutrz rozbudzeni śpiewem przekupniów, rozwarliśmy firanki przysłaniające nam światło dzienne, i wyjrzeli na świat szeroki, dokoła tu oblany wodą! Przed nami sterczał gmach komory celnej, kąpiący się w wodach kanału, pod nami szklily się zielone fale, tu i owdzie krajane wiosłami gondolierów, a nad nami świeciła, — nie, piekła raczej, tarcza rozżarzonego słońca, zdając się grozić roztopieniem wszystkiemu, na co padały jego promienie.

— Co za zmiany, co za różnice, — mówiłem sam do siebie. U nas ziemia nie pozbyła się jeszcze kołdry zimowej, a tu cała przybrana w kobierce szmaragdowe, u nas wiatr ze śniegiem bije w oczy i lży wyciska, a tu słońce olśniewa i oślepia, zmuszając najbardziej ponure twarze do uśmiechu dzieciennego i wesela.

Powiedział ktoś że Wenecya, to plac Ś-go

Marka z pałacem króla, prokuracyami i kościołem. Nie prawda. Plac Marka, to zwykły plac, rojny tłumami szukających na nim ochłody i wczasu, — Wenecya to kanały ustronne, podmywające progi domostw odwiecznych, to gondolierzy zwinni jak dziewczęta i jak dziewczęta na pieniądze łakomi, to most Rialto i tłumy przekupniów, którzy się na tym moście gromadzą, to Gheta cuchnąca i brudna, z żydostwem wygrzewajacem się na słońcu. I gdy na placu Ś-go Marka nie spotkasz nic, coby ci wyraźnie mówiło, że jesteś nie w Paryżu lub Wiedniu, ale w najdziwniejszym na całym świecie grodzie, gdy nic ci nie ukazuje tu w całej pełni krasy królowej, zdegradowanej już dziś, co prawda, Adryatyku, — tam, zdala od tego zbornego punktu całego grodu, widzisz gdzie jesteś i czego masz się spodziewać. To też kto chce Wenecyę poznać, kto chce przeniknąć ducha tego jakby zaczarowanego grodu, niech nie krąży po placach lub wązkich chodnikach, tu mianem ulic ochrzczonych, ale wtulony w kąt gondoli, gdy księżyc ukaże światu

blade swe i mgłą melancholii przysłonięte oko, niech każe się wieźć w te ciasne nitki wód, snujące się tu w różnych kierunkach jak prawdziwe nitki w labiryncie Ariadny, i niechaj ztąd czepia swój wzrok po gmachach, gdzie niegdyś chadzali Otello z Desdemoną, gmachach w których mieszkali niegdyś Barberini i Pisaniowie, gdzie rozkazy Dożowie wydawali. Gmachyż bo to, gmachy! Niema takich ani wesoły Wiedeń, ani Paryż, ani Londyn, ani nawet małpujący Wenecję Hamburg, ani żadne miasto na świecie. Gmachy te, są to jedyne w swoim rodzaju budowle, a choć odrapane i czarne, choć zębem czasu nadkąsane srodze, imponują przecież ludziom i imponować długo im jeszcze będą. I nic w tem tak dalece dziwnego, – wylaniając się z wód morskich, niby Mickiewiczowska Świtezianka z fal jeziora, niby Świtezianka opowiadają dziwy o dniach owej minionej wielkości grodu, który oddalony od brzegów Italii, ustronnie gdzieś rzucony na laguny, długie czasy berło handlu Europy dzierżył w dłoniach swoich, obszerne państwa ujarz-

miwszy i różnojęzycznym ludom narzuciwszy
wpierw swoje prawa.

Wśród takich to murów, przy takich to
wspomnieniach i myślach, kołysałem się dnia,
mniejsza o to którego, w gondoli na kanale
wielkim. — Był wieczór, ale nie ten wieczór
północy, co to choćby najpogodniejszy, przecież
od czasu do czasu, przejmuje nas lekkim po-
wiewem zimniejszego wiatru, ale wieczór uro-
czej Auzonów ziemi, ciepły i balsamiczny, spo-
kójny i przejrzysty. Podemną lśniła się szmara-
gdowa posadzka kanału, dokoła snuły się niby
widma, czarne łodzie, unosząc w swoim
wnętrzu tajemnicze istoty, a nad tem wszy-
stkiem, niby „gmach sklepiony“, wisiał firma-
ment nieba, czystego, białego, bez chmurki.

Nagle od strony Rialto, dolatuje mnie jakiś
szmer. — Szmer przemienia się w głośniejszy
dźwięk, aż oto odgłosy chóralnego śpiewu do-
chodzą do moich uszów. Na kilku łodziach,
czarnych i cmentarnych, jak wszystkie gondole
w Wenecyi, grono śpiewaków wykonywa jakieś
melodye. Muzyka jest z początku wesoła, to

znowu coś o smutniejszą nutę trąci, wreszcie zlewa się w całość hałaśną, imponując przecież swoim doborem. Na łódkach śpiewają postrojeni mężczyźni i kobiety, na gondolowych masztach przyświecają różnokolorowe latarnie, jednostajny, i głuchy stuk wiosła o wodę dopełnia reszty, — a prostopadle na to wszystko księżyc rzuca swe promienie białe, tęskne, jak o szczęściu marzenie, czyste jak dziecięcia sen. Czy to było piękne? — nie powiem, ale kto takiego chóru i w takim otoczeniu nie słyszał, ten nie wie co to jest śpiew, a kto widział Wenecję, nie słysząc śpiewu na jej czarownych wodach, ten znowu nie wie co jest Wenecya. Bo powtarzam, — czar i urok tego dziwnego miasta, spoczywa nie w jego galeryach i muzeach, nad które daleko piękniejsze znajdują się w wielu miejscach, nie w jego gmachach, bo te co tu się wznoszą, raczej do kościołupów, niż do zamieszkałych gmachów podobne, ale w tem czemś, co się opowiedzieć nie da, czego nikt bez widzenia pojąć nie może, a co podpatruje ten tylko, kto dajmy na to, słyszy

taki na wodzie chór, lub błądzi nocą po cmentarzu miejscowym, niby upiór zatopionym na poły w morzu, lub wreszcie pływa o zmroku po uliczkach wąskich jak nasze trotoary, a głębokich, tajemniczych i strasznych, jak sumienie zbrodniarza... Myslę że tak jest rzeczywiście i przed oczami duszy mojej staje mi w tej chwili mara wielkiego angielskiego poety-marzyciela, który tu właśnie, część swojego burzliwego życia przepędzał, a którego niejedno dzieło, bodaj czy pod wrażeniem tego właśnie nie dającego się opisać „czegoś“ nie powstało.

Bo kto ma poetyczną duszę, ten niechaj do Wenecyi podąży, a to co z wnętrza swego tu pod jej niebem wysnuje, zaiste, przejść doniosłością swą musi wszystko, co kiedykolwiek z pod pióra jego wyszło... Przyznawał to niejednokrotnie Byron, przyznawały za Byronem tysiące, zgadzając się przecież wszyscy na to, że źródło poetyczności tej Wenecyi spoczywa właśnie w odmiennych warunkach, w jakich dziwne miasto to żyje i rozwija się od stuleci szeregu.

II.

Droga do Florencyi. — Padwa. — Plac Wiktora Emanuela. — Echa z Akademii Mickiewicza w Bolonii. — Florencya. — Dlaczego tu przedewszystkiem mieszkają cudzoziemcy? — Kolonia polska. — Ordon. — Teofil Lenartowicz. — Rygier. — Wołyński i Muzeum Kopernika. — Kassyno. — Wycieczka na Colliny i do Fiesole. — Myśli po zwiedzeniu pomnika Dantego i Mauzoleum Michała Anioła.

Z Wenecyi do Florencyi jest około dwięciu godzin drogi. Przebywasz most, łączący królowę Adryatyku z lądem, mijasz Maestre i parę mniejszych stacyi i znajdujesz się w prastarej Padowie, gdzie tyle wspomnień mówi ci o twym ojczystym kraju. Tu to czerpali wiedzę, by potem zasłynąć naukami wśród swoich, Kopernik i Kochanowski, tu hartowali swojego ducha na wzorach staro-rzymskich, Batory, wielki kanclerz Zamoyski i niezapomniany obrońca Wiednia, Jan Sobieski. O lu-

dziach tych mówi ci tu każdy, są oni bowiem zaszczytem tego miasta, zarówno jak chlubą swojego kraju. Czy więc wejdiesz w podwoje sławnej owej Akademii padewskiej i wzrok powodzisz po ścianach zawieszonych herbami byłych jej uczniów, czy popołudniową godziną pójdiesz na przechadzkę poza katedrę Ś-go Antoniego i staniesz na placu ochrzczonym mianem pierwszego króla zjednoczonej Italii, — wszędzie ci te wspomnienia cisną się gwałtownie do głowy, przywodząc przed oczy winy ciężkie, ale zarówno i niezwykle cnoty, które kunsztowny organizm państwowy wieki całe utrzymywały w złączeniu... A czy te wspomnienia przeszłości, stają ci przed oczyma duszy wtedy tylko, gdy o tych wielkich imionach marzysz, czy tylko ci nieśmiertelni mężowie, w Padwie wykształcenie odebrali? Przejdź wielką aulę w starożytnej Akademii, przyjrzyj się uważnie napisom nad gankiem podwórzowym, a nacalnie przekonasz się wtedy, ilu to przodków naszych czerpało tu wiedzę, by potem promieniami jej oświecać wszystko w domu dokoła.

To też Padwa drogą jest każdemu Polakowi, drogą jako rozsadnica cywilizacji łatyńskiej na dalekim Wschodzie, i drogą każdemu pozostanie, póki ludzie cenić będą prawdziwą i zdrową naukę...

Wenecya, to kanały, Padwa, — to świątynia Ś-go Antoniego. Większa od katedry Ś-go Marka, nie powiem, by była od niej wspanialsza. Imponuje tylko ogromem, ale styl jej, jest mieszaniną stylów i oryginalnego piętna na sobie nie nosi. To też kto zobaczy uniwersytet i plac Wiktora Emanuela, kto rzuci okiem na katedrę Padewską i przyjrzy się oryginalnym domom, jakim podobnych gdzieindziej trudnoby szukać, a które ozdobione krużgankami nad głową przechodnia, prowadzą po obu stronach ulicy dach, chroniąc go od potoków deszczowych i słonecznych promieni, kto to wszystko, powiadam, zobaczy, ten niech opuszcza Padwę, gdyż więcej w niej pewno nic nie ujrzy. Nie ujrzy, — jest bo tu jeszcze małe miejskie Muzeum, ale lubo mogłoby ono być ozdobą Warszawy, która żadnego Muzeum nie posiada, we Włoszech przecież jest bez żadnego zna-

czenia i w rzędzie zbiorów ściągających miliony cudzoziemców, żadnej prawie nie odgrywa roli. Zwiedziłem je przecież i wyszedłem nie dziwiąc się już temu wcale, że Włochy są, były i będą po wsze wieki, ojczyzną sztuki, że na ich wzorach kształcić się będą bez końca wszyscy, piastujący w duszy wzniosłe ideały piękna. I niech się temu nikt nie dziwi, — jeśli bo w mieście trzydziesto-tysięcznem, malarz ma na swoje zwołanie wyborne kopje arcydzieł i wcale nieźle oryginały, a rzeźbiarz wszystkie wspanialsze z gipsu odlewy i wiele cennych posągów marmurowych, to cóż dziwnego, że jeśli dziś niektóre narody, wyprzedziły Włochy w twórczości artystycznej, wszystkie przecież, po naukę, swoich adeptów sztuki, posyłać do Włoch muszą, bo tu tylko wszystko sztuką żyje, tu tylko sztuka z każdego kamienia przemawia, tu sztuka w każdym poczucie piękna rozwija.

Tak więc i artyści nasi, z Henrykiem Siemiradzkim na czele, pod pięknem niebem Italii szukają nie od dziś natchnienia, a chociaż z obrazów ich i posągów, kraj ich rodzinny zawsze

przemawia, przecież na talencie ich artystycznym, Włochy wyciskają swoje niestarte piętno, tak, jak wyciskać będą wiecznie na wszystkim, co w pokrewieństwie zostaje z rodzajami, w których królowali i królują: Michał Anioł, Rafael i Leonardo da Vinci.

Drugim etapem za Wenecją, na drodze do uroczej Florencyi, jest Bolonia. Widnieje mi ona przecież tylko zdali, gdy siedzę w pociągu kolei, przysyłając odgłosy instytucji, związanej z nazwą największego męża, jakiego kraj nasz w XIX-tym wieku wydał. Nie tak dawno, o instytucji tej było głośno, kraj nasz i prassa interesowali się żywo „Akademią Mickiewiczowską“, mającą na celu zapoznawanie Włochów z pomnikami literatur słowiańskich, nie tak dawno wśród tysiąca słuchaczy, wykładał tam Teofil Lenartowicz, publicznie przemawiał Wołyński. Dziś smętne tylko echa dochodzą do moich uszu. Profesor Santagata, który Akademię tę powołał do życia, znużony długoletnią pracą, do wypoczynku już wzdycha, o następcy szlachetnego uczonego coś jakoś nigdzie nie sły-

chać, a młodzi słuchacze, mający być rozkrzewicielami, z czasem, znajomości piśmiennictwa słowiańskiego i naszego wśród Włochów, zaprzątnięci interesami chwili, coraz mniej troszczyć się zaczynają o losy tego, tak pożytecznego przecież zakładu. A kraj nasz? Czyż sam może utrzymać na dalekiem południu instytucję, pośrednie tylko mogącą oddawać mu przysługi? Czyż utrzymałby on choć rok jeden katedrę literatur słowiańskich w Collège de France, nawet w chwili, gdy największa jego chluba, twórca „Dziadów“ i „Tadeusza“, na katedrze tej się znajdował? Tak jest, — bez przyczynienia się rządu włoskiego, „Akademia Mickiewicza w Bolonii“, suchotniczy tylko żywot pędzić będzie, rząd ten bowiem, i jedynie tylko ten rząd, może jej stworzyć stałe źródło dochodu, bez którego żaden naukowy czy też uczony zakład, nie przeżyje motylkowego wieku. Właśnie rozmowę toczę w wagonie w tym przedmiocie, z pewnym wykształconym Bolończykiem.

— Co pan chce, — odpowiada mi on, po

wysłuchaniu uważnem tego com mówił, — u nas na armję włoską to pieniądze zawsze się znajdują, ale o oświacie i środkach na nią, prywatni sami zawsze myśleć muszą.

Miły Boże, — pomyślałem, gdy pociąg unosił mnie dalej na południe, czyż i pod tem pięknem, przejrzystem niebem, ludzie o niczem innem nie myślą, jak o zabieraniu życia drugim i zamiast gromadzić zasoby do wspólnej skar-bony cywilizacyi, czyż i tu niszczenie jej owoców za cel swego stawiają istnienia, które w pracy i pokoju, w oświacie i miłości bliźniego, tak pięknie przecież upływać może, ku zbudowaniu całej ziemi, ku radości nieba całego?...

.
Gdyby nie okolice Bolonii, droga z Wene-cyi do Florencyi, byłaby jednostajną i nudną, jak nasza, dajmy na to, do Częstochowy lub Granicy. Bo naprzód idzie ona płaszczyną, przeryna wprowadzie koryta szerokich rzek, ale nigdzie nie prowadzi cię z ich biegiem, nigdzie wreszcie nie ukazuje nawet w oddaleniu, roz-

łozystych lasów, tak bardzo urozmaicających krajobrazy północy. Dopiero pod samą Bolonią ukazują się oczom twoim góry, które rzucone na tło zabijającej jednostajności, nieopisanie miły sprawiają efekt. Góry to nie wysokie i nie spadziste, w niczem nie przypominają naszych Tatr, lub skał Helweckich, porośłe przecież winogradem i chmielem, oświecone promieniami takiego słońca, jakie nie świeci ani nad Tatrami, ani nad skały Czterech kantonów jeziora, rojne od ludzi krzątających się tu i owdzie, obsiane wreszcie wdzięcznymi domostwami, około których pasą się szeregi krów i kóz, — dla przejezdnego do Florencyi są tak pożądanem zjawiskiem, jak dajmy na to, żyzna i zielona oaza, ukazująca się wdali, oczom zmęczonego spiekotą pustyni Beduina. Jak oaza przecież na pustyni, krótko tylko i one tu zatrzymują na sobie wzrok podróżnego, i niedługo za Bolonią znikają z oczów, aby w zmienionej zupełnie formie, ukazać się dopiero w okolicach Neapolu.

A pociąg mknie po ich zniknięciu dalej, już

taką samą jak od Wenecyi płaszczyzną, tak samo nudną i smutną, tak samo mało urozmaiconą i ubogą we wdzięczne widoki.

— Tak wszystko, — myślę, — znika w życiu, pozostawiając pustkę po sobie, i w myśli stają mi słowa wielkiego wieszcza :

„Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,

„Cóż zostanie, — a ona rzekła mu: wspomnienie“.

.
.

W dole, wśród kwiatów, w łożysku wspa-
niałej rzeki, wieńcem gór okolona, wiankiem
osłonięta zieleni, w śnie słodkim, już chyba
nieprzerwanym, o minionej wielkości marząc,
dzieci swego ducha potężnymi wspomnieniami
Danteo i Michała Anioła karmiąc, spoczywa
miasto. Dawniej rojno tu było i gwarno; dwór
królewski rozpościerał się w Pitti, zanim sko-
rzystawszy z klęsk Francyi pod Sedanem, prze-
niósł się na stałą rezydencję do Rzymu; je-
szcze dawniej chadzali po tych ulicach naj-
większy poeta i artysta, jakich spłodził geniusz
Italów ziemi, a jeszcze dawniej rozkazy tu da-

wali potężni władcy, okrutni w wojnach i krwiozerczy, ale wspaniałomyślni i sztuki miłujący w pokoju. Miasto to, — Florencya. Nie wiem jak wyglądała w owej chwili, gdy przed Dan-tem zamykano nawcięż wrota, nie wiem czy podobną była choć w części do dzisiejszej, gdy królowali w niej Medyceusze, — to wiem przecież, że kto jej od 1870 roku nie widział, nie poznałby jej obecnie. Lat temu piętnaście, gdy Wiktor Emanuel patrzył ztąd pożądlwym wzrokiem w stronę wiecznego miasta, które udało mu się osiąść dzięki tylko zwyciężkim Pruss orłom, lat temu powtarzam, piętnaście, Florencya należała do miast najbardziej ożywionych w Italii. Zarówno sztuka, jak i polityka, składały się harmonijnie na to, aby zainteresowanie całego świata ku jej prastarym murom zwracać, a wielu takich, których nie obchodziły Madonny Rafaela, lub freski Giota, miesiące całe spędzali tu w tym celu, aby przyglądać się i śledzić za wzrostem nowo tworzącej się potęgi, która powołana do życia na polach Magenty i Solferina, rosła ciągle, zdu-

miewając swym wzrostem wszystkich. Z chwilą przeniesienia stolicy Włoch do Rzymu, zainteresowanie się Florencją osłabło, mnóstwo cudzoziemców pociągnęło za zwyciężkami sztandarami na południe, mnóstwo mieszkań opustoszało, i dziś Florencia zmniejszona w swoim obszarze, płynie ciszej i spokojniej niż dawniej, niby rzeka, która wezbrawszy niezwykle od roztopu odwiecznych śniegów w górach, w latach suszy zwęziwszy koryto swoje, toczy wody już mniej śmiało i zuchwale.

— Czy na przeniesieniu się rządu do Rzymu, wygrała czy straciła Florencia? Kto to wie. Straciła niezawodnie na wspaniałości, ruch na jej przedmieściach i ulicach zredukowany został do minimum, mnóstwo opustoszało jej gmachów, ale wewnątrz, duchowo, podniosła się i spotężniała, niby mędrzec wyrwany z wiru świata i skazany na przymusową, prawdę, ale przecież tak pożądaną dla mędrców — samotność.

Dziś, zgadzają się na to wszyscy, — gdy razem z dworem wywędrowały do Rzymu te



tlumy, co to niby émy za światłem, lecą zawsze za blaskiem i złotem, dziś dla każdego prawdziwego miłośnika sztuki, pobyt we Florencyi jest podwójnie korzystnym. To też ciągną tu i ciągnąć długo jeszcze będą artyści z całego świata, a że synowie sztuk plastycznych, są to przeważnie dzieci pokoju, więc Florencya, rojna nie tak dawno i hałaśliwa, dziś jest miastem harmonii i ciszy. Że zaś są dusze kalekie i zbolale, które ciszy i harmonii łakną, ztąd za artystami podążają tu na stałe mieszkanie cudzoziemcy, którzy nie rozbijają się wprawdzie powozami po Lungarno i Collinach, nie zapełniają kawiarni i sklepów przeraźliwym, jak w Paryżu w „Magazynie Luwru“ krzykiem, ale spokojnie z Baedekerem w rękę, przesuwają się niby cienie, po galeryach Uffici i Pitti, rozkoszując się arcydziełami, jakich darmobyś, zaiste, szukał po stolicach innych miast Europy. I ludzie ci charakter miastu nadali, spokojni i spokoju szukający, spokojem tym Florencyę napełnili, czyniąc z niej miasto równie przez uczonych i miłośników sztuki na pobyt pożądane, jak

naprzykład Kraków, lub blizkie nam historycznymi wspomnieniami Drezno.

Wśród cudzoziemców, przemieszkujących stale we Florencyi, dość wybitną rolę zajmuje kolonia polska. Nie imponuje ona przecież miastu bogactwem i zbytkami, nie zwraca na siebie uwagi wykwintnością ubrania i powozów, ale poczesne zajmuje stanowisko, dzięki jakości składających ją osób.

Podczas pobytu mego we Florencyi, poznałem czterech przedstawicieli tej kolonii: Rygiera, Ordon, Lenartowicza i Wołyńskiego.

Szedłem ulicą z dawniejszym już moim znajomym, Wołyńskim, naprzeciwko nas przechodził wysoki i poważny mężczyzna. Wołyński pozdrowił go polskimi słowy.

— Kto to taki? — zapytałem, obracając się za przechodzącym.

— To — Ordon.

Gdyby mi kto powiedział, że widział na ulicy samego twórcę „Wallenroda“, prędejj może uwierzyłbym temu, niż moim własnym oczom, gdy ich doszły powyższe słowa Wołyńskiego.

— Jakto, Ordon? — zapytałem zdziwiony, — przecież już nasz poeta wspomniał o jego śmierci...

— To i cóż, że tak powiedział? — rzecz w tem, że mylnie doniesiono, iż Ordon nie żyje, a poeta nie sprawdził tej okoliczności.

Jak na starca, Ordon wyglądał wcale nieźle. Patrząc na niego, niktby mu nie dał więcej jak 50 lat. Wiek i koleje życia, przeszły przez tego człowieka, nie pozostawiawszy na nim żadnego śladu. I kto by o tem nie wiedział, ten mógłby, patrząc na jego sztywną postać, sądzić, że po różach mu żywot spłynął, tak jak tym bogatym Anglikom, którzy zwiedziwszy połowę znanego globu, tu nareszcie przybyli z wypchaniami po brzegi kieszeniami, spędzać wesołe chwile na łonie śmiejącej się natury i sztuki...

We Florencyi również stale przemieszkują Rygier. Nazwisko Rygiera znane jest dobrze krajowi, a połączone jest ono z rozkwitem w ostatnich czasach rzeźby polskiej. Lekki i powiewny w swych utworach, należy on do tej szkoły włoskich mistrzów dłuta, którzy wdzięk

i gracyę postawili na pierwszym planie. To też ten wdzięk i ta gracya wdzięczą się do ciebie z każdego jego posągu, czy to patrzysz na Poppeę, na ramieniu której rzucony od niechcienia motylek, już, już ma się wznieść w powietrze, czy na Bachantkę, która w zwinnych ruchach, płasza przed tobą ochoczo, w wdzięcznych liniach drapując dokoła swych nówek ubranie.

Kiedym bawił we Florencyi, Rygier zajmował obszerne mieszkanie na placu „Indipendenza“ (wolności). Nieopodal znajdowała się jego pracownia. Skromna i niezasobna, to przecież co posiadała w swoim wnętrzu, nacechowane było piętnem niezwykłego talentu. Zatrzymałem się przed obszerną płaskorzeźbą, przedstawiającą „Tryumf Zwycięzcy“.

— Jest to apoteoza króla Sobieskiego pod Wiedniem — odezwał się Rygier. Zrobiłem ją umyślnie w tym celu, aby w wiekopomnym dniu dwóchsetletniej rocznicy ocalenia Wiednia od Turków, przypomnieć Włochom ten pierwszorzędnego znaczenia fakt. I osiągnąłem cel zamierzony. — W dniu 12 Września 1883 roku,

wystawiłem moje dzieło na widok publiczny, tłumy ciekawych zaległy wystawę, a nazajutrz wszystkie dzienniki florenckie i rzymskie rozpi-sały się obszernie nietylko o zaletach mojego dzieła, ile o kraju naszym, o królu Janie i o zwy-cięstwie nad Dunajem.

Apoteoza Sobieskiego zrobiła na mnie miłe wrażenie. Nie powiem przecież, by dzieło to było najlepszem z Rygierowych. Przeciwnie, bohaterski, klasyczny zakrój niekoniecznie na-daje się do jego dłuta, które jest lekkie, wdzię-czne i swobodniej rzeźbi powab niewieściej twarzy, niż surowy mars tryumfatora i wojo-wnika. Przecież nie jest to dzieło bez zalet. Sobieski na koniu, ma w sobie coś imponują-cego, a otaczający go ludzie mówią wyraźnie, że jak Czarniecki, „nie z soli, ani z roli, ale z tego co boli“ powstał. To też nie dziwnego, że płaskorzeźba podobać się Włochom musiała, sądzę nawet, że wystawiona w Krakowie, le-piejby przypadła do gustu publiczności, niż utwór Welońskiego, wmurowany w ścianę Ma-ryackiego kościoła, a który acz siły nie pozba-

wiony, przecież zbyt wyraźne nosi na sobie piętno niekoniecznie miłej dla oka manieri.

— Pracuję właśnie w tej chwili, — mówił, gdyśmy przeszli do pokoju drugiego, Rygier, — nad projektem na pomnik Mickiewicza.

Tu mi okazał maleńką figurkę, mającą przedstawiać wielkiego naszego poety. Spojrzałem na nią i — nie zrobiła na mnie żadnego zgoła wrażenia, tak jak nie zrobiła wrażenia warszawska wystawa wszystkich projektów konkursowych na pomnik twórcy „Grażyny“, choć pochlebstwem podłożone pióra, wyśrubować ją niefortunnie chciały na popis rzeźby polskiej.

Że i Rygier, tak pomysłowy i utalentowany, nie dopisał projektami pomników, że to co oglądałem we Florencyi, jak i to co widzę w Warszawie, po nad miarę pospolitości nie wyrasta, tłumaczę to, zaiste, niesłychaną trudnością zadania. Jak do dziś nikt, mimo że już upłynęło trzydzieści lat od śmierci genialnego wieszczą, nie może zdobyć się na dokładny jego życiorys, tak nikt również, nie jest, zaiste wstanie od-

tworzyć w marmurze lub obrazie tej niepospolitej postaci. Wielkość tematu zarówno pisarzowi jak artyście podcina skrzydła, onieśmiela go i ciśnie do ziemi; to też wszystko, co wychodzi w warunkach takich z pod ich dłoni, nie podnosi czytelnika i widza, nie zadawała pragnienia ogółu, jest szablonowem i mniej lub więcej poprawnem, ale też nigdy niczem innym. I długo tak jeszcze będzie, póki myśli Mickiewicza nie rozejdą się więcej po krwi narodu, póki nie oswoiimy się więcej z tą kolosalną osobistością, która wpływ taki na ogół wywarła, że go z wpływem żadnej w tym wieku inteligencji polskiej porównać niepodobna, póki wreszcie tak łatwo tu zrozumiana egzaltacya nie zawróci do naturalnego koryta, a pieczęć krytyki nie wycisnie na pozostałościach po poecie ostatecznego swego piętna.

Rozmawiałem dość długo z Rygierem o sztuce naszej i o prawdopodobnej jej przyszłości. Artysta wypowiadał sądy bezstronne, w słowach jego czułem przecież gorycz, że kraj nasz tak mało wogóle dla polskiej sztuki robi.

— Konkursa nasze, — mówił on, — to istna parodia konkursów; nie przewodniczy na nich chęć odznaczenia prawdziwej zasługi, ale prywatna i koteryjność. To też miernoty biorą tylko na konkursach tych nagrody i, chcąc nie chcąc, muszą zagranicą szukać chleba, którego im w kraju nie dostaje.

U Rygiera znajdowałem się z Wołyńskim. Jest to prawdziwy typ literata z profesyi. Prowadził czynne i burzliwe życie, był księdzem w Rzymie i korespondentem politycznym, wreszcie sutannę zrzucił, ożenił się i osiadł we Florencyi.

Nazwisko Wołyńskiego zaczęło być więcej w kraju znanem, gdy po jubileuszu Kopernika, Uniwersytet rzymski postanowił zebrać niektóre pamiątki po wielkim naszym astronomie. Wtedy przyszła Wołyńskiemu myśl założenia w Rzymie Muzeum, mającego w najdalsze czasy mówić przyjezdnym o prawdziwej narodowości Kopernika. Rozumował on sobie w ten sposób: Niemcy gwałcą bezlitośnie historję, zabierają nawet umarłych i usiłują wmówić w świat że

Kopernik — to „produkt ich narodowego geniuszu“. Otóż Rzym jest stolicą świata, ciągną do niego ze wszystkich krańców ziemi, na pamiątkach jego kształcąc się, całe pokolenia. Jeżeli więc w Rzymie założymy własnymi środkami Muzeum poświęcone pamięci tej narodowej naszej gwiazdy, jeżeli co więcej, nadamy mu prawdziwe piętno, — świat powoli dojdzie do przekonania, że obalamucają go Niemcy, i ani na chwilę nie pozwoli sobie wątpić, że Kopernik był Polakiem.

I odwołał się Wołyński, zakreśliwszy sobie taki plan, po ofiary do kraju. Ofiary, przy pomocy prassy naszej, w pieniądzach i naturze popłynęły, zamiar przyoblekł się w szatę czynu, i zrodziło się, dzięki energii tego człowieka, wspaniałe Muzeum Kopernika, które wkrótce stanie się jedną z naukowych ozdób prastarego, siedmiopagórkowego grodu.

Ale nie tylko Muzeum Kopernika, mówi o zasługach Wołyńskiego. Jest on skrzętnym i pracowitym badaczem przeszłości naszej, a jego poszukiwania w archiwach włoskich, wyświe-

tlily już niejeden niejasny szczegół historii polskiej.

Kiedym bawił u Wołyńskiego, pokazywał mi on swoje prace, które dla braku nakładcy, spoczywają ze szkodą dla nauki, po rękopisach.

— Nie mam środków, na wypuszczenie tego, co pan tu widzisz, w świat; we Florencyi na polską książkę nikt lira nie da, a kraj zapominał o tych, którzy nie kołaczą wciąż o jego pomoc.

Więc znowu kraj. Rygier jako artysta, żalił się na obojętność dla sztuki swoich, Wołyński w charakterze literata, tę samą mi piosnkę śpiewał, z prawdziwym zatem żalem i boleścią, przysłuchiwałem się słowom tych ludzi, bo obaj posiadają prawdziwy talent, obaj mogliby jeszcze długo ogółowi służyć, a obaj tymczasem, — niestety! — podcięte mają skrzydła, zmuszeni pracować na obczyźnie i czasami nawet dla obcych!...

.

— A to co? — pytałem pani Rygier, stojąc

przed ładnym posągami góralskiego chłopca, u stóp którego widniały nakreślone ołówkiem słowa.

— To dzieło fantazyjne mego męża, a wiersz Lenartowicza. Czytaj pan.

Żona moja zaczęła czytać:

„Ojciec góral i ja góral,
„Ojciec umarł a jam został
„I po ojcum fajkę dostał“.

Rozśmialiśmy się wszyscy.

— Kiedy mąż, — opowiadała pani Rygier, — ukończył tę oto pracę, dla ozdoby naszego salonu, przyszedł do nas Teofil Lenartowicz. Popatrzywszy na figurę, wyjął z pugilarasu ołówek, i w kilku słowach scharakteryzował postać. Czy nie trafnie?

Rozmowa przeszła na Lenartowicza.

— Jest to jeden z dawniejszych mieszkańców Florencyi, — mówiła pani Rygier, — a nasz bardzo dobry znajomy. W tej chwili jeszcze nie wyjechał na letnie mieszkanie, zapewne więc państwo zechcecie być u niego.

Nazajutrz z żoną i Wołyńskim, znajdowaliśmy się w gabinecie autora „Lirenki“.

Lenartowicz przyjął nas serdecznie i widoczną okazywał radość, żeśmy go w przejeździe przez Florencję nie pominęli. Jest to mężczyzna średniego wzrostu, o twarzy ściągłej i ozdobionej sumiastym wąsem, o ruchach energicznych i żwawych. Ile ma lat? Wygląda prawdziwie nie na więcej jak na pięćdziesiąt, a gdyby nie silnie miejscami szpakowate włosy, niktby mu nawet i tej liczby nie dawał. Zajmuje on skromne mieszkanko na ustronnej ulicy na drugim piętrze, a jak na poetę i uczonego przystało, gabinet jego był zasłany książkami. Usadowił mnie z żoną na kanapie, sam usiadł naprzeciwko nas i zaczął wypytywać o kraj i o to co w domu słychać.

— Właśnie — opowiadał mi — otrzymałem zaproszenie na Zjazd krakowski, z okazji jubileuszu Kochanowskiego. Jechać nie mogę, bom skołatany i chory, ale oto list, który wysyłam w odpowiedzi na zaproszenie.

Tu mi zaczął czytać list, skreślony na sze-

rokim arkuszu, a adresowany, zdaje mi się do Majera, — list, który od początku do końca, kwalifikował się do druku. Po pierwszych słowach podzięk, Lenartowicz kreślił w nim tak świetnemi słowy stanowisko w narodzie i znaczenie dla literatury polskiej Kochanowskiego, że śledziłem uważnie za jego wyrazami, jakby za tokiem wykładu profesora z katedry.

Po odczytaniu swojego listu. Lenartowicz zwrócił uwagę na poprawność i czystość języka polskiego.

— Macie w Warszawie, — mówił, — młodego literata, który przepięknie pisze po polsku. Jest nim Chlebowski.

Tu zaczął chwalić styl wytworny i klasyczny tego pisarza.

Rozmowa przeciągnęła się z dobre pół godziny. Nie chcąc dłużej poecie zajmować czasu, ile że godzina była poranna, w której zwykle Lenartowicz pracował, — powstałem z miejsca.

— Do zobaczenia, do zobaczenia, — a nie zapominajcie tam o mnie.

Ot i cała kolonia polska we Florencyi.

Cała? — nie, jest tam bowiem jeszcze kilku Polaków, którzy do stałych mieszkańców tego miasta się zaliczają. Ale że Polacy ci nie noszą znanych i zasłużonych nazwisk, że nic dla pożytku swojego ogółu nie robili i nie robią, wyrzucając owszem bezpotrzebnie grosz na obczyźnie, którego w kraju swoi nie mają do zbytku, przeto w przytoczonych powyżej, zamknąć można całą kolonię naszą, gdyż wymienione tylko wyżej osoby, krajowi swemu pod pięknem niebem południa służyć rylcem i piórem ani na chwilę nie przestają. Dzięki więc temu, każdy przyjezdny do Florencyi z nimi tylko znajomość robi, a choć chodząc po Muzeach i ulicach, słyszy czasami dźwięki ojczystej mowy, nie zwraca twarzy w stronę zkad te dźwięki dochodzą, bo instynktownie czuje, że ludzie którzy je wydają, z nazwisk tylko do narodowości naszej należą, a przemawiając zwykle u siebie po francuzku, tu po polsku dlatego tylko mówią, aby ich myśli osłona tajemnicy dla Włochów były pokryte...

Kassyno zwiedzałem sam z żoną, Colliny

z Wołyńskim, a Fiesole z tym ostatnim i Ry-gierami. Trzy te miejsca należą do piękniejszych ozdób Florencyi.

Obszerny ogród, przetrzięty wstęgą rzeki, ogród pełen zieleni i kwiecica, ozdobiony popier-siem indyjskiego księcia, który podróżując po Europie, tu umarł, i tu zwyczajem swego kraju, na stosie został spalonym, ogród, gdzie co wie-czór, niby w naszych Łazienkach, zgromadza się śmietanka florenckiego towarzystwa, — to Kassyno.

Szereg pagórków okalających miasto, po wierzchołkach których ciągnie się pyszna szossa, zkąd widok nieporównany na Florencyę i na Arno podmywającą Florencyi stopy, pagórków, u stop których wznosi się starożytna świątynia i pomnik Michała Anioła, wykonany zbiorowemi siłami rzeźbiarzy, — to Colliny.

Niewielkie miasto, położone na niewysokiej górze, do którego wieć się trzeba drożyną stromą i wąską, obsiane dokoła willami bogatych flo-rentczyków, szukających w nich co lato schro-nienia przed straszną spiekotą, miasto pełne

historycznych wspomnień, bogate w zabytki porzymianach i burzycielach cywilizacji rzymskiej, — to Fiesole.

Być we Florencyi i miejscowości tych nie widzieć, jest to gościć w Krakowie i nie pokłonić się grobom królów. To też każdy przyjezdny do stolicy Toskanii, po zwiedzeniu jej osobliwości, chętnie przepędza w nich słodkie godziny wczasu, zwłaszcza też, gdy znajdzie się tu, wśród takich skwarów, wśród jakich wcale niespodziewanie znaleźliśmy się oboje, choć opuściliśmy dom nasz w Maju.

Rygierowie opowiadali nam, że skwary te były istotnie wyjątkowe o tej porze we Włoszech. Czy tak, nie wiem, to wiem tylko, że o ile na mnie oddziaływały one nieprzyjemnie, o tyle żonę moją obezwładniały zupełnie. To też nietylko chęć szukania wrażeń wypędzała nas co popołudnie za miasto i nietylko dla przypatrzenia się z bliska strojom elegantek florenckich, wyjeżdżaliśmy do Fiesole, Kassyna i na Colliny.

.

Osobliwości Florencyi! Kto ich nie zna, kto o nich nie czytał? Kto nie słyszał o wielkich zbiorach Uffici i Pitti, gdzie jaśnieją jak gwiazdy pierwszej mocy Madonna Rafaela i Wenus Medycejska, i o Logii Lanzi, gdzie imponują Perseusz z głową Meduzy i inne arcytwory Benwenuta Cellini. Kto o tem nie wie? Od czasu „Corinne ou l' Italie“ pani Staël, do naszych „Kartek z podróży“ Kraszewskiego, w językach obcych i polskim, na sposobów tysiące, opisywano artystyczne skarby Włoch, lwia naturalnie część, poświęcając w tych opisach Florencyi. Więc cóż ja tu dodam nowego? Czyż czytelnik niema już dosyć tych wykrzykników i zachwytów, jakie wydzierają się z pod pióra wszystkich opisujących Włochy, na wspomnienie skarbów artystycznych, jakim równych w żadnym zakątku świata nie znajdzie? Czy nie nużą go już opowiadania na różne sposoby jednej i tej samej rzeczy, składając usta jego do ziewania, tak jak słuchaczy wesołych dyktaryjek Pana Jowialskiego Fredry?

Tak dumałem paląc w gabinecie moim cy-

garo, po wyjściu z kaplicy Medyceuszów i kościoła Santa Croce, gdzie na pomniku, wielki w pomyśle (bo nie w wykonaniu) rzeźbiarz, kazał czcić, złotemi głoski, największego poetę Włoch. Tak dumałem, gdym brał do ręki pióro, by idąc za głosem mojego powołania, nakazującym mi spisywać doznawane wrażenia, zamierzał wprowadzić czytelnika do wnętrza tych galeryj i Muzeów Florenckich, które przed chwilą przebiegałem z płomiennem okiem. Tak dumałem i odrzuciłem pióro w kąt pokoju, a myśl moja zatrzymywała mnie uparcie, na dwóch gwiazdach najjaśniejszych tego miasta: Dantem i Michale Aniele.

Dante i Michel Angelo!

Czyż na dźwięk tych dwóch wielkich nazwisk, nie zadrży na całym ciele Włoch każdy, tak jak Polak na dźwięk nazwisk Kopernika i Mickiewicza? Czyż po wsze czasy, po wsze wieki, nie stanowiły one i stanowić nie będą prawnego tytułu do dumy synów Italskiej ziemi? Istotnie, można przy nich stawiać nazwy Rafaela i Leonarda da Vinci, można z Grecyi

przywołać cień Homera, z Anglii Szekspirowe widmo, — pewno, że nie zblakną one przy żadnem z nich, pewno że przyćmić się żadnemu nie dadzą.

Dante i Michel Angelo, — to „Boska Komedia“ i „Sąd Ostateczny“ w Watykanie, to szczyt patryotyzmu, niezłamanego przeciwnością żadną i Medyceuszowa kaplica, to stworzenie narodowego języka i odrodzenie ojczystej sztuki. Kolosy te, stoją jak dwa mytyczne punkta obok siebie i wzajemnie się dopełniają, patrzą z wyżyn na dzisiejsze pokolenie pigmejów, i o wielkich chwilach życia na tej ziemi Tytanów marzyć mu każą. Dante i Michel Angelo, to nadzieja dla ludzi dawnej epoki, że będzie kiedyś lepiej, to wiara dla ludzi epoki dzisiejszej, że Włochom już nigdy źle nie będzie, to pewnik wreszcie dla ludzi wszystkich epok, że kraj, który się szczyci takimi dziećmi, „wyobrażeniem geograficznem“ nazywać się nie może.

Kiedym patrzył na szlachetną postać twórcy, „Divina Comedia“ w kościele Santa Croce, kie-

dym stał zdumiony i olśniony przed grobowcami książąt Toskanii, uczuwałem dla tych wielkich geniuszów Włoch, coś z tego rodzaju czci, jaką starożytny uczuwał w obliczu bogów. I pytałem sam siebie wtedy, czemu tę dziwną cześć przypisać, i opędziałem się przed tą czcią pogańską, — chęć moja była jednak za słaba, zamiar rozbijał się o silniejszą przeszkodę, i mimowoli chyliłem kornie głowę przed geniuszem tych dwóch nieśmiertelnych mężów, widząc we wspomnieniu ich i ich dziełach promień bóstwa, oświecający nam posępną drogę, na tej samotnej naszej „leż dolinie“. I pomyślałem sobie wtedy, jak smutną byłaby pielgrzymka nasza na tej ziemi, jak tęskną odwieczna wędrówka ku nieskończoności, gdyby Bóg nie zsyłał tu w odstępach wieków, promieni, światła wiekuistego i jak on sam nieskończonego, które oświecając nam nasz życiowy pochód, przed oczyma wciąż stawiają prawdę i piękno, a w tej prawdzie i w tem pięknie doszukiwać się każą wiary i miłości, dwóch najpotężniejszych filarów, na których się cała ludzkość wspiera!...

Znakomity autor „Wieczorów Florenckich“, dzieła które jest i długo będzie prawdziwą ozdobą literatury naszej, przeprowadzić usiłuje paralełę pomiędzy Dantem i Michałem Aniołem. I przeprowadza ją bardzo zręcznie. Myślę właśnie o tem i przed oczyma duszy mojej staje mi nazwisko trzecie, które z tamtymi dwoma stanowi trójkę, mogącą zwać się geniuszem Italii. Istotnie, gdy Dante jest twórcą języka i poezyi, Michał Anioł odrodzicielem sztuki, Machiavelli uosabia tę politykę, przewrotną wprawdzie i niemoralną, dzięki której przecież, Włochy pomimo klęsk na polu bitwy, posiadły Wenecyę i Rzym. Dzięki im dwóm, na długo przed swoim zmartwychpowstaniem, Włochy imponowały całemu światu naukami i sztuką, dzięki trzeciemu, odgrywają dziś na nim wybitną, polityczną rolę. Uczeni i artyści, po wsze czasy korzystali z dwóch pierwszych, uczeni rozwijając dalej język, którego Dante jest ojcem, artyści pielęgnując ideał sztuki, którą Anioł otrzął z naleciałości obcych, — politycy kształcili się i kształcą na zasadach ostatniego,

które głośno co prawda potępiane są przez wszystkich, ale po cichu, przez wszystkich stosowane. To też Włosi wiedzą o tem dobrze, trzy te nazwiska otaczają czcią niezwykłą, w nich widzą prawdziwą iskrę narodowego swego ducha, który tłę się w chwili gdy Włochy nie znaczyły, — dziś, gdy są silne i zjednoczone, przyświeca jaskrawo wszystkim rasom i ludom, mówiąc im wyraźnie i dobitnie, że nie upadł ostatecznie ten naród, który żywo pielęgnuje ideał nauki i sztuki, chroniąc od zagłady i zniszczenia największe narodów skarby: język i starą ojców wiarę.

.
Kaplica książąt, gdzie Michał Anioł w ołtarzach poumieszczał pomniki Medyceuszów, to jedyna kaplica w całym świecie, — pomnik Dantego przy ścianie prawej Santa Croce, to jedyny w całym świecie pomnik. Jak tamta jest Mauzoleum, od podstawy do szczytu utworzonym trudem i geniuszem jednego człowieka, i lepiej mówi widzowi o jego wszechstronności, niż „Sąd Ostateczny“ w Watykanie,

lub „Mojżesz“ u Ś-go Piotra w Więzach, tak ten ostatni, acz słaby mojem zdaniem w wykonaniu, pomysłem przechodzi wszystkie pomniki, jakie ku uczczeniu wielkich ludzi, gdziekolwiek postawiono.

Na sarkofagu wzniosłym i obszernym, siedzi twórca „Komedyi Boskiej“. Siedzi i marzy, — o przeszłej niewoli Włoch, o walkach i namiętnościach stronnicych, o dzisiejszej ich wielkości. U stóp jego postać niewieścia ukazuje na napis na pomniku, a napis ten brzmi ni mniej ni więcej, tylko: „uczcijcie największego poetę“. Powtarzam, — pomnik ten w myśle, niema równego sobie nigdzie, i nigdzie talent artysty-rzeźbiarza, nie uczył godniej, niż tu, we Florencyi, geniuszu filozofa-poety.

Kiedym stał przed pomnikiem Dantego, myślałem sobie, co też rzeźbiarski artyzm polski stworzy dla uczczenia wieszczą naszego, tej miary i tego znaczenia dla nas, co Dante dla włoskiej ziemi. Dziś już o czemś podobnem nie myślę, artyzm polski pokazał co potrafi i zrobił... fiasco! Ani Mickiewicz na szczycie po-

mnika, ani figury służące mu za dopełnienie, nie zadawałają słusznych wymagań ogółu, żaden z nadesłanych na konkurs krakowski projektów, nie nosi na sobie piętna oryginalności, żaden z nich nie mówi tego, coby w pomniku najlichszy znawca pism Mickiewicza chciał wyczytać. Ale, prawda, powiedziałem już wyżej, wielki wieszcz nasz od trzech dopiero dziesiątków lat spoczywa w grobie, podczas gdy Dante od kilku już wieków, niepodzielnie króluje na Parnasie...

III.

Rzym. — Pierwsze wrażenie. — S-ty Piotr i Papieztwa potęga. — Na gruzach świątyni pogańskiej. — Il re galantuomo w Panteonie. — Ogólny charakter wiecznego miasta. — Strzembosz, Schemboke. — Rzym nowy u progów starego. — Wieczorem na Corso i Monte Pincio. — Święty Paweł.

Rzym!... Któż nie zadrży na dźwięk tego wyrazu, komu nie rozplómieni się wzrok, gdy się znajdzie na ulicach tego grodu! Kiedy się bowiem wspomni i na myśl swą przywiedzie, czego to miasto świadkiem było, jakie zasługi położyło dla cywilizacyi, kiedy się przed oczyma duszy postawi i bohaterskie czyny jego mężów i ciche cnoty domowe jego niewiast, które „w domu siedząc i wełną przędąc“, po wsze wieki i czasy niedościgłym wzorem, jako takie, będą dla kobiet wszystkich epok i narodów, — kiedy się o tem wspomni, kiedy się to oczyma ducha ujrzy, dreszcz jakiś święty przebiegnie

całe ciało, a z piersi wyrwie się okrzyk zachwytu i zdumienia, że się tu, na tem pamiętnem miejscu, we własnej osobie znajduje, że się na to własnymi, rzeczywistymi oczami patrzy, że się dotyka rękami swemi tych ścian i tych omszałych murów, których się dotykali wielcy owi, na których ludzkość spoglądać przywykła cała, jako na pionierów cywilizacji człowieczej. A cóż dopiero gdy się wspomni te roje męczenników świętej wiary, którzy paleni tu na stosach i lwom na pożarcie oddawani, nie ulękli się przecież prześladowców, nie skłonili przed pogaństwa potęgą głowy, którzy jak krety zaryli w ziemię, póty toczyli zmurszały gmach barbarzyństwa, aż go rozsypali w kawałki; cóż, gdy się przeniesie na skrzydłach myśli w owe uroczyste chwile, które zlane potokami krwi człowieczej, są przecież czcigodnym rodzicem dzisiejszych czasów, z ich bólami i wewnętrzными walki!... O, wtedy jakaś niewysłowna radość opanowuje człowieka, że przybył tu, ponad te Tybru wody, że oddycha tem rzymskiej kampanii powietrzem, a radość tę ten tylko pojmie

i zrozumie, kto sam kiedyś znalazł się w tych pamiętnych murach, z majestatem i wspaniałością których, chyba tylko jedne Jerozolimy mury porównane być mogą. I błogo mu się jakoś na duszy robi i w sercu rozlewa się jakiś czar dziwny, a proces duchowy jaki się dokonywa w jego wnętrzu, wszakże to proces udoskonalenia.

Wczesnym rankiem dnia... mniejsza już o to którego, kolej żelazna wyrzuciła mnie na bruk Rzymu. Wyrzuciła, — pociąg bowiem nie zatrzymywał się w wiecznem mieście, ale biegł dalej, do Neapolu, na południe. Tłumy tragarzy opadły mnie, gdym wyszedł z dworca, każdy zalecał usługi swoje, każdy za walizę mą chwycił. I trzeba było prawdziwej śmiałości, aby obronić się od tej zgrai, żądnej i głodnej zarobku, i dojść swobodnie do dorożki stojącej na przyległym placyku.

— Hotel Minerwa! — krzyknąłem, rad żem się otrząsnął przed napastnikami, a za chwilę powóz unoszony rączemi końmi, potoczył się z turkołem po bruku.

Był ranek wilgotny i chłodny. Deszcz który nawiedził nas już, gdyśmy zwiedzali przed samym wyjazdem kościół Santa Croce we Florencyi, znać sły ślady i na ulicach wiecznego grodu, mniejszemi i większemi kałużami; słońce nie mogąc przegryźć chmur zalegających widnokregu powierzchnię, nieśmiało tylko i zrzadka darzyło uśmiechami swoję ziemię. Wtuleni więc w głąb pudła powozowego, patrzyliśmy dokoła ciekawym wzrokiem, czepiając zdumione źrenice to na fontannach, to na murach, które niby szkła w kalejdoskopie dziecięcym, mijały nas, zastępując się wciąż innemi.

Przyjezdny, wysiadający w Rzymie na dworcu korespondującym z florenckim i jadący do hotelu Minerwa, nie doznaje żadnego wrażenia. Wygląd miasta jest tu zupełnie nowoczesny. Stare mury, o których naczytało się tyle, ukazują się tylko wdali, wspaniałe pałace arystokracji rzymskiej chowają się gdzieś w głębi, a ty jedziesz ulicami zwykłemi, wśród domów najzwyklejszych w świecie i tylko tu i owdzie ukazujące się wodotryski mówią ci, że nie je-

steś na przedmieściu Warszawy, Wiednia albo Berlina. Kto więc chce doznać wrażenia grodu jedyne go w swoim rodzaju na całej ziemskiej kuli, niechaj zasłoni ręką oczy i odejmie ją wtedy dopiero, kiedy się znajdzie na niewielkim placyku, w środku którego znajduje się staroświecki obelisk, w jednym boku kościół „Santa Maria sopra Minerva“, w drugim hotel mianem bogini mądrości ochrzony, a w głębi wspaniałe i starożytny Panteon, z jego skarby i historycznymi wspomnieniami. Niechaj odejmie, — a ujrzy wtedy, że znajduje się na niezwykłym miejscu, że spoglądają na niego jak ze szczytów Piramid, dziesiątki wieków, że jak na szczytach Piramid, ukazują mu się cienie setek do grobu niegdyś złożonych pokoleń. Tu dopiero poczuje on, że się znajduje w Rzymie, że oddycha rzymskim powietrzem, a choć powietrze to będzie jeszcze powietrzem Romułów i Cezarów, przecież przyniesie mu ono już podmuch czasu rozkwitu sztuk pięknych, czasów Rafaela, Tiziana i protektora nauki i sztuki, Leona X-go.

Czem Wawel z grobami królów w Krakowie, meczet Sofii w staroświeckim Stambule, grobowiec Mahometa w Mekce, tem w Rzymie i dla rzymian, jest kościół Ś-go Piotra. Mówię dla rzymian, znaczenie jego bowiem w chrześcijańskim świecie i dla chrześcian, z niczem zaiste, porównać się nie da. Bo pomijam jego obszar i wspaniałość, zamykam oczy na bogactwa wiekami nagromadzone w jego wnętrzu i skarby sztuki, jakim równych żadna świątynia na obu półkulach nie posiada, — symboliczna kościoła tego doniosłość jest tak potężna, że potęgi podobnej darmoby zaiste gdzieindziej szukać. „Piotrze, ty jesteś opoka, na tej opoce, zbuduję ja kościół mój“, — powiedział do pierwszego apostoła Chrystus, i te słowa każdy widzi, kto próg tej katedry przestępuje. Co więcej, kiedy minąwszy zamek Anioła, wejdzie się na podwórze świątyni, której skrzydła niby macierzyńskie ramiona, w miłośny uścisk zaraz każdego przyjmują, kiedy się rzuci okiem na wspaniałą obelisk, na szczycie którego umieszczony krzyż, jasno mówi że krzyż wszystko zwyciężył,

i wyobrazi sobie tłum stotysięczny, odbierający tu rok rocznie, z rąk przewodnika wiary naszej błogosławieństwo, uczuwa się nieopisany zachwyt dla tej potęgi nie z tego świata, która fizycznej siły pozbawiona, nie wsparta żadną bronią, władzą jedynie moralną pokonywa wszystkich swoich wrogów. I nic się wtedy nie robi sobie z „kulturkampfu“, nic z gromów jakie przeciwko kościołowi ciska potężny kanclerz z Warcina, nic z praw majowych, jakie dla zwalczenia wpływu kościoła wymyśla, bo się czuje że to są wszystko daremne sprawy, że złość ludzka darmo się miota bezsilna, nie obali bowiem tego, co szeregiem wieków ugruntowane, szeregi wieków istnieć będzie, patrząc spokojnem okiem, jak walić się będą w proch dzisiejsze potęgi, tak jak tyle potęg wczorajszych, w obliczu jego zdruzgotanych już zostało.

Zdruzgotanych... Istotnie, kiedy się stanie tu na tym placu, twarzą zwróconym w stronę kościoła, kiedy się spojrzy na gmach Watykanu, wyłaniający się w olbrzymich kształtach, niby Tytan wśród otoczenia Pigmejów, na myśl przy-

chodzą wtedy chętnie historyczne wspomnienia, pasmo wieków przesuwają się przed oczyma. Widzi się, cóż? Ubogi rybak, na głos Odkupiciela świata, osiada nad Tybru brzegami i tu, idąc za głosem Boskiego rozkazodawcy, zakłada państwo, mające objąć w uściski swoje świat cały. Niema broni, niema armii na skienienie jego posłusznych, nie mają ich i następcy jego pierwsi, mimo to, wszystko korzy się przed ich wolą, u stóp leży w skrusze i prochu. I świat stary, świat uzbrojony w miliony mieczów, podnosi się jak jeden mąż z posad swoich, czuje wroga, który mu grunt z pod nóg usuwa i w pierś jego wszystkie groty swoje kieruje, mimo to, rozlawszy krwi potoki, pada zemdlony na ziemię, a z gruzów jego, niby feniks z popiołów, podnosi się pierwiastek nowy, gnieciony i prześladowany dotąd, przecież nieosłabiony krwi upustem, i mający objąć wkrótce w posiadanie swoje wszystko.

Pod skrzydły opiekuńczemi nowych porządków, rozwija się i do równowagi układu wszystko. Na trupie zmurszałego i zgangrenowanego

Rzymu, na narodowych podstawach oparte powstają nowe, niemożliwe przy dawnym, pogańskim ustroju, państwa. Chrześcianizm wszystko ożywia, we wszystko wlewa uzdrawiające soki, a choć chwile pierwszej jego władzy, to chwile ciemności i chaosu, chaos ten jest jednak prostem następstwem gwałtownej przeciw dawniejszym porządkom reakcyi i w wnętrzu swoim nosi zarodek przyszłej światłości, tak jak w łonie chmur, czarną oponą zalegających podczas burzy niebo, mieszczą się zarodki ogników, odświeżających i odradzających atmosferę.

Państwa te rosną, rozwijają się i padają, Watykan trwa w ustroju, jaki mu nadał założyciel jego Święty, zmieniają się jak obrazy w panoramie formy rządów, Papieztwo jedno nieprzeobrażone wciąż stoi, nie doznając w istocie swojej zmian żadnych.

Bluntschli powiedział, że żywot państwowego organizmu, z żywotem ludzkim porównany być może, że tak jak człowiek rodzi się by się rozwinąć i wzmocnić, wzmacnia i rozwija się on, by umrzeć. Niechaj tu przyjdą, tu, na

progi tego przybytku, jego idee, które tylu zwolenników mają, niechaj spojrzą oko w oko tej władzy, która to z niczego poczęta, dziś politycznie do nicości sprowadzona, оголоcona z armii i broni, odarta z ziemi i w murach Watykanu zamknięta, nietylko nie zmniejszyła się i nie zamarła, jak tyle politycznych władz na tym świecie, ale owszem, rozrosła się i spotężniała, rosnąc i potężniejąc nieledwie z dniem każdym. I powiem, że Watykan mniej był potężnym w chwili gdy rozkazywał terytoryom, mniej majestatycznie wyglądał, gdy cesarzom klękać u stóp swych kazał (Grzegorz VII), niż dziś, gdy z terytoryów jest оголоcony, niż dziś, gdy prosty minister z Berlina urąga mu i nad nim się natrzasa. Znikło bowiem to, co było ziemskiego, a co jako ziemskie jest biedne, drobne i przechodnie, pozostała Boska istota, co jest bogatą, olbrzymią i wieczną. Znikło ciało, pozostał duch, który się oprze lat tysiącom, znikła forma, została treść święta i niezmienna. I dobrze że tak jest, bo wszyscy wydziedziczeni i biedni, patrząc dziś na tę złąd

biorącą swój początek siłę bez siły, na tę tu zaklętą władzę bez władzy, potężnieją na duchu swoim, w mglistą przyszłość pogodniej spoglądają, krzepiąc i potęgując w sobie to, co jest nieśmiertelne i wiekuiste, jak nieśmiertelnym i wiekuistym jest Ten, który skinieniem Wszechmocnej woli swojej, światy do życia woła, albo w grób je strąca.

.
Więc dopiero przyjezdny z florenckiego dworca, na placu hotelu Minerwy, czuje że się znajduje w wiecznym mieście. Tak jest, czuje. Czuje, co więcej, słaby refleks starożytnej Romy, na gruzach której rozsiadł się Rzym nowy, rojny dziś tłumem zwiedzających ten gród cudzoziemców. Tu oto dźwiga się piękny kościół, ale co mu za podstawę służy? Oto świątynia pogańskiej bogini, która mądrość uosobiła w sobie. Mądrość!... Biedna, z rozdartem po ukrzyżowaniu Syna, sercem Marya zwyciężyła bogatą, uśmiechniętą od zbytku szczęścia, Minerwę, i tam, gdzie jej palono wczoraj ofiary, dziś przyjmuje korne modły i wier-

nych swoich pokłony. A tam wdali, po za tą wąską uliczką, która wpływa do tego wielkiego placu niby potok do szerokiego jeziora, jakież to gmach rozacza wspaniale swoje wdzięki? To Panteon, zrazu, za pogan świątynia, potem, za papieztwa kościół, a dziś Mauzoleum sławnych ludzi, grób Wiktora Emanuela.

Il re galantuomo w Panteonie! Czyż mógł marzyć, że się tu kiedy znajdzie syn zgnębionego na Nawarry błoniach wojownika, później królik małego Piemontu? Czyż śnił o tem w śnie najweselszym swoim wtedy nawet, gdy we Florencyi rozkazywał, nawet wtedy gdy mu Cezar Francyi, na wiązanie Wenecję u stóp składał? Czyż śnił? Czyż nie wiedział, że Napoleonowska Francya całą siłą swojego wpływu bronić będzie Rzym od najścia, czyż nie słyszał jak wszechpotężny minister wyrzekł głośno, że Włochy „nigdy“ grodu tego nie zajmą? A jednak przyszła zawierucha straszna, żelazne pułki odziane w pruskie pikielhauby, pociągnęły z „Wacht am Rhein“ na ustach, na Zachód, potęga na glinianych osadzona no-

gach, runęła pod uderzeniem taranu, zaświtał groźny dzień Sedanu. Synowiec i spadkobierca wielkiego i krwiożerczego Cezara poszedł w mury rozkosznego Kasselu, aby już nigdy brzegów Francyi nie widzieć, i bez wypowiedzenia wojny, bez walki, prawie że bez wystrzału, włoscy żołnierze znaleźli się na ulicach wiecznego miasta, a on sam w Kwirynału podwojach. „Jesteśmy tu i pozostaniemy“, miał powiedzieć, gdy Pius IX zamknął się szczelnie w Watykanie, i rzeczywiście pozostał i spoczywa snem nieprzespanym w gmachu, gdzie niegdyś bogom palono na ofiarę kadzidła.

Dziwny jest pietyzm, jakim Włosi otaczają grób swojego monarchy. „Il re galantuomo“ leży po prawej stronie świątyni, za balustradą przy której spoczywa księga do zapisywania nazwisk odwiedzających. Trumny nie dojrzy gołe oko, zarzucona wieńcami i szarfami, spoczywa w tajemniczym zagłębieniu. I ktoby nie wiedział że to grób króla, nie dostrzegłby tego nigdy, chyba po twarzach tych, którzy tu co chwila napływają.

— Znakomity człowiek, pamięć jego nie zaginie nigdy — rzekł pewien Włoch, spoglądając w stronę gdzie sarkofag spoczywał.

Istotnie znakomity, pomyślałem, zapisując moje nazwisko do przeznaczonej na ten cel księgi, on pierwszy urzeczywistnił plan, o jakim marzyły tysiące, on zamienił w ciało słowo, będące w sercach wszystkich, on dokonał kolosalnego dzieła, na samą myśl o trudnościach którego z rozpaczą opadały ręce najodważniejszym. Niech więc śpi tu, pod tą kolumną wawrzynu, niech wypoczywa po trudach życia całego, niech uczy grobowcem swoim wciąż otoczonym, odwagi bojaźliwych, wytrwałości łatwo oddających się rozpacz i zniechęceniu. Niech śpi... pamięć jego nie zaginie, póki stać będą te gmachy niebotyczne, póki lazuruwe fale Adryatyckiego morza, z szumem pieścić brzegów Włoch nie przestaną. Niech śpi.

Przyznać trzeba, że Rzym od chwili gdy został stolicą potężnego mocarstwa, zyskał wiele na zewnętrznym swoim wyglądzie i powierzchownej wspaniałości. Wprawdzie wspaniałość ta,

w niczem wspaniałości, dajmy na to, Turynu nie przypomina; ulice jak były, pozostały wąskie, domy jak były, niskie i niekształtne, zostały. Mimo to przecież tam, gdzie to jest możliwe, jak grzyby po deszczu, wyrastają pyszne dzielnice, strojąc się w gmachy, mogące być ozdobą Paryża. Młode królestwo wyświdrowawszy się na pierwszorzędne mocarstwo, chce gwałtem zaimponować światu nie tylko obfitością swego wojska, nie tylko piękną marynarką, stroi więc na przeróżne sposoby, tę Romę starodawną, której zdobycie, po wiekach całych pożądliwości, poczytuje za ostatnie słowo narodowej swej dumy. Więc Via Nazionale zabudowywa się wzdłuż pałacami, więc pod majestatyczny pomnik Wiktora Emanuela, projektuje się zburzenie mnóstwa zmurszałych domostw, więc Corso czyści się i polewa dniem razy parę, niby Ringi cesarskiego Austrii grodu, lub bulwary francuskiej republiki.

I za lat kilka, gdy dzielnice nowe się wykończą, gdy szereg domów, niby linia karnego wojska, stanie tam, gdzie dziś są jeszcze puste

place, Rzym będzie najoryginalniejszym miastem na świecie, bo na niewielkiej przestrzeni zgromadzi wszystkie architektoniczne style, od świątyni Westy pogańskiej, po mansardowy styl domów ulic Paryża. Dziś już ta oryginalność widnieje wyraźnie, tylko że jeszcze nie zakończono mnóstwa domów, mających być ozdobą siedmiopagórkowego grodu, nie poprowadzono wszystkich linii ulic projektowanych na nowym planie, ale gdy nowe domy staną, gdy na nowych ulicach zakwitnie życie, gdy tramwaye wzdłuż i wszerz przerzną miasto, Rzym wtedy z żadnym miastem na świecie porównać się nie da, nie tylko pod względem historycznych wspomnień i tego podmuchu starego powietrza, jakie nie wieje w żadnym innym punkcie globu, ale i pod względem zewnętrznej swojej powierzchowności, dziwacznej i eleganckiej, biednej i bogatej, staroświeckiej i ostatnie słowo nowoczesnej architektury streszczającej.

Niedaleko ulicy Nazionale, na placu dziś jeszcze dość opustoszałym, ale który niezawodnie już jutro zabudowanym zostanie pysznymi

pałacami, wznosi się villa. Villa ta, na zewnątrz ozdobiona kolorami i w poetycznej drzemiąca ustroni, zielenią i kwieciami niby żywym wiankiem, okolona, musi być villą artysty. Tak jest. Postawił ją znakomity mistrz pendzla, urządziwszy tu sobie wygodną i jasną pracownię. Nazwisko artysty: Siemiradzki. Twórca „Tańca wśród mieczów“ i „Tyberyusza na Capri“, dwóch najświetniejszych, mojem zdaniem płócien, jakimi wzbogacił sztukę polską, tu w tej uroczej ustroni, na pagórku z którego rozlacza się widok na Rzym, pracuje, nie spuszczać ani na chwilę z uwagi swego ojczystego kraju i choć odtwarza na płótnie sceny z życia starożytnej Romy, choć stawia przed oczy widzowi epizod palenia męczenników, lub potworny handel kobietą, wszędzie jest malarzem polskim, wszędzie mówi, że jego ojczyzną nie ta jasna, rozkoszna i uśmiechnięta, ale ta inna, chmurna i biedna. „Światło świeci w ciemnościach i ciemności go nie pochłona“, oto godło tego malarza, który dziełami swemi mówi, że jest wielkim malarzem, i który też ofiarnością swoją na rzecz kraju,

prawdziwie zawstydził najmożliwszych, mówiąc wszystkim wyraźnie i dobitnie, że są warunki i położenia, w których ofiarność jest obowiązkiem.

— Pan w domu? — zapytałem, przestępując próg jego villi.

— Pan w Warszawie, dokąd się udał przed kilkoma dniami.

Wręczyłem służącej „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza, którą to powieść artyście przezemnie przesyłał jego brat adwokat, i odszedłem z prawdziwym żalem, że nie uścisnął tej zacnej dłoni, co znaczy swoją miłość do kraju taką ofiarnością i takimi dziełami...

Takich villi jak villa Siemiradzkiego, w nowej części Rzymu wznosi się kilkanaście. Jedne już są wykończone i zamieszkałe, inne podprowadzone pod dach, a wszystkie składają się na całość, nad wyraz i nad opis powabną, ba, powiem więcej, wspaniałą. Villi takich przybywać będzie coraz więcej, coraz więcej bowiem cudzoziemców osiada w Rzymie, w niedalekiej więc już przyszłości stolica świata, w pewnych przynajmniej porach roku, stanie się stolicą

mody i gustu, odbierając Paryżowi jego dotychczasowy charakter magnesu, ściągającego na chwilowy do siebie pobyt obcych.

Kto chce podziwiać nowoczesne gmachy Rzymu, a nie chce lub też nie może znaleźć się nad brzegami Tybru, temu polecić możemy całem sercem fotografie Schemboka. — Kto jest Schembocke? Jest to szlachcic polski z Radomskiego, który pracując uczciwie, hańby imieniu polskiemu nie przynosi. Niktby z przekręconego jego włoskiego nazwiska nie poznał prawdziwego polskiego, zwie się on bowiem Strzębosz, a pochodzi z rodziny od wieków na kawałku roli w Polsce osiadłej i dobrze znanej. Mimo że od bardzo dawnego czasu zamieszkały w Rzymie, nie zapomniał języka polskiego, niepotrzebnie tylko przekręcił nazwisko, co prawda, trudne do wymówienia przez Włochów. Pan Strzębosz ma najlepszy zakład fotograficzny w Rzymie, a jego artystyczne wystawy zawsze wynagradzane są medalami. Przypomina mi się właśnie, że kiedym przed 9-ma laty był, jadąc w głąb Norwegii, w Chrystyanii, na

pryncypalnej ulicy miasta: „Carl Johans Gade“, również spotkałem pierwszorzędną fotograficzną firmę polską. Równie więc wtedy przyjemnie mi się zrobiło, gdym ujrzał że rozpierzchnięci po świecie moi rodacy, nie wszędzie wyciągają niegodnie ręce, świat napęlniając rozgłosem swoich swarów, ale w pocie czoła trudzą się, pokonywają szalone trudności i przeciwnościami niezrażeni, zdobywają nieraz sobie wybitne wśród obcych stanowisko, a narodowi do którego należą poszanowanie, wolne od przymieszki niemieckiego współczucia.

Żona moja zapragnęła fotografować się u Strzembosza. Zamówilem więc kostium Rzymianki, przystroiłem ją w takowy i tak przybraną, odtworzyć poleciłem na pamiątkę pobytu w tem miejscu. Fotografia wypadła świetnie i ile razy spoczna na niej nasze oczy, zawsze nam przypominać będą te chwile, które na całym przyszłym życiu ryją ślad niestartych czasem, niby pług, krający skibę, mającą po jego przejściu, zostać jakimś nadziemskim zakłębieniem, zamienioną w twardy kamień.

.
Tak więc u progów Starego Rzymu roz-
ciąga się wspaniałe Rzym Nowy, zlewa się z nim
i jedną całość tworzy. — Miejscami Rzym ten
odosabnia się od dawnego tak, że chodząc po
jego ulicach ani domyślasz się, że tuż, tuż wzno-
szą się gmachy, które przetrwały dwadzieścia
wieków, miejscami masz po prawej stronie bu-
dynek z przed lat setki, a obok Forum Trajana,
lub też łaźnie Karakalli. Jest jednak poza Via
Nazionale, pewna arterya ruchu, gdzie nie czu-
jesz że jesteś w odwiecznem mieście, gdzie ci
się zdaje, że chodzisz po Wiedniu, lub War-
szawie. Arterya tą: Corso i monte Pincio.

Ulica długa i prosta, wężka jak nasza Wierz-
bowa a ruchliwa jak Krakowskie-Przedmieście,
gdzie wieczorem jest istne piekło, gdy się zaroi
tłumem przechodniów, a rankiem cisza sakra-
mentalna i poważna, ulica po której, środkiem
jedzie, noga za nogą, karetą z wytwornemi
strojnisiemi, zaprzężona w rumaki warte tysiące
lirów, trącając o nędzny wózek ciągniony przez
chudego osła, gdzie przechodnie mięszają się

z końmi i w jedną dziwną z końmi zlewają grupę, gdzie otyłe sklepowe wystawy połowę ciasnych chodników zajmują, gdzie przekupki śpiewają głośno zalecając swój towar, a przewoźnicy klną na czem świat stoi, odpędzając cisnące się pod nogi koniom tłumy, istny kalejdoskop, gdzie barw tysiące i tysiące widoków, — to Corso.

Łazienki nasze, lub pola Elizejskie w Paryżu, wykwintny Prater lub Thiergarten w Berlinie, miejsce spaceru szukających wczasu Rzymian i cudzoziemców, zielony salon, w którym po południu słyszysz pomięszane języki całego świata, z kąd rozciąga się przepyszny na Rzym widok, gdzie patrząc na Watykan i Colosseum, masz jak na dłoni cały szereg wieków, z ich zbrodniami, cnotami i krwią przelaną, gdzie znużony nieznośną śpiekotę, uciekasz codzień by poszukać ochłody i wypoczynku, — to Monte Pincio. Dwa te miejsca, Corso i Monte Pincio, zlewają się w jedną całość z sobą; jedno jest rzeką toczącą bystro burzliwe fale, drugie jeziorem przyjmującym w swoje łono wody rzeki,

a u wrót jednego i drugiego stojące dwie piękne świątynie, są niby wyspy, gdzie żeglujący po tych wodach, znajduje zawsze pokrzepienie i posiłek.

Jechałem tak po pysznych alejach Monte Pincio, przyglądając się pięknemu zegarowi, który woda wprowadzała w ruch, gdy nagle oko moje uderza znana mi dobrze z lat bardzo dawnych, twarz kapłana. Wyskakuję z pojazdu i widzę przed sobą księdza, którego życie spłynęło zaiste nie po różach, a który będąc kiedyś nauczycielem moim, zyskał tem samem tytuł do mojego szacunku.

Ksiądz Grabowski.

Ks. Grabowski, to istny człowiek idei. W zaraniu lat swoich poświęcał się wychowaniu młodzieży, wszczepiając w jej nieskażone jeszcze dusze, prawdy odwieczne świętej wiary i zasady moralności, później znalazł się w wiecznem mieście, poświęciwszy się odosobnieniu i dobrym uczynom. Cierpienie i rezygnacya wyryły się na jego twarzy i wyłłobiły na niej swoje ślady. On, niegdyś tak wesoły i wielomówny, dziś stał

się poważnym i milczącym, oko jego przysłoniło się mgłą zadumy, na czole ukazała się zmarszczka, symbol żywy cierpienia, a w kątach ust żywy gorzkości symbol. Mimo to, z czoła nie znikła ta pogoda, która przyświecała mu kiedyś, i nam uczniom, tak miłym go robiła, mimo to, serce jego nie zgorzkniało dla tego świata, który go przecież piołunem karmił. Tylko że ten świat przestał go już tyle zajmować co dawniej, tylko że zubożał dla jego znikomych rzeczy, zatopiony w rozmyślaniu i modlitwie, cały się wpatrzył w ten świat tajemniczy i nieznany, gdzie niema walk, gdzie wieczny pokój panuje, a w którym spotkamy się przecież kiedyś wszyscy.

.

— Dziwaczna myśl,—mówił pewien, oparty o różnobarwny parasol, Anglik, spoglądając na wspaniałą świątynię. — Tu, w tem miejscu, w takim oddaleniu od środka miasta, — dziwaczna myśl.

Istotnie, pomyślałem, — dziwaczna. Staliśmy obaj przed kościołem Ś-go Pawła.

Co podało myśl Papieżowi, który tę świątynię zaprojektował, wydawać miliony lirów, na stawienie tak wspaniałej świątyni w takim odosobnieniu i w tej od Rzymu odległości?

Co podało? Powiadają, że w tem właśnie miejscu Ś-ty Paweł poniósł śmierć męczeńską, że tu duch jego uleciał na Chrystusowe łono, by połączyć się z duchami innych męczenników wiary, i że to właśnie skłoniło Głowę Kościoła, iż pamięć tego Świętego zapragnął tu uczcić pomnikiem. — I uczcił ją prawdziwie po marnarszemu. Kościół Ś-go Pawła, na to zgodzą się zemną wszyscy, w nowym Rzymie należy do najwspanialszych budowli, i majestatycznością swoją wewnątrz, bodaj czy katedry Ś-go Piotra nie przechodzi.

Szkoda tylko, powtarzam, szkoda, że jest on tak od Rzymu odległy i że w żaden sposób, włączyć go nie można do świetnego łańcucha nowych budowli, które z czasem wieczne miasto zamienia w jeden z najpiękniejszych grodów Europy.

IV.

Roma. — Forum i Colosseum. — Moje myśli w cyrku. — Co zostało z dumy? — Forum Romanum i Forum Trajana. — To i owo o starym Rzymie. — Termy Dyoklecjana i świątynia Westy. — Ślady pracowitości Rzymian. — Katakumby. — „Światło było w ciemnościach i ciemności go nie pochłonęły“.

(List do przyjaciela).

....O Romę pytasz? Rzym nowy ze wspa-
niałymi budowlami jest zupełnie dla ciebie obo-
jętny, nic cię nie obchodzi i Corso i Monte
Pincio, nic pyszna Via Nazionale, ty tylko na
ruiny lubisz patrzeć, z omszałymi od starości
murami gadać, — źle ci i niewygodnie na sało-
nowej posadzce, pewny jesteś jeno wśród pu-
szczyków legionu; — dobrze więc, zadowolę twoją
ciekawość i z lotu ptaka przedstawię ci ten
Rzym stary, który zamknę w dwóch przeciwle-
głych jego słońcach: Forum i Katakumbach.
Z lotu, powiadam ptaka, — tak jest, na szczegó-

łowy bowiem opis, choćby mnie może i stać było, nie będę się silił w liście do ciebie. Czyliż bo, w formie mdłej akwarelli, może historyczny malarz przedstawić grozę batalii, tej co Grunwald naprzykład siły lub Wagram?

A więc Forum. — Ważniejszych ma stara Roma dwa: Forum Romanum i Trajana, ale mniejszych znalazłbyś tu pono więcej. Dwa te Fora uzupełniają się wzajemnie i szczegółowo badane, dają pono dokładniejsze pojęcie o publicznem życiu dawnych Rzymian, niż najdrobiazgowsze opisy Liviusza lub Tacyty. Z lotu ptaka jakże się oba przedstawiają? Wyobraź sobie dwa dość rozległe pola, w dość foremny prostokąt ciągnące się poniżej dzisiejszych ulic, pola, na których całkowitych budunków nie masz, bo jeżeli tu one stały, to je rdza czasu zgryzła bezlitośnym zębem, zato zasiane rzędem kolumn, większych, mniejszych, węższych i szerszych kolumn, w połowie tylko zachowanych od zagłady a piętrzących się niby las masztów, na wzniesieniu i w zagłębieniach, w gruppach i luźnie, bezładnie i harmonijnie. To jest Fo-

rum. Takie rzymskie, takie i Trajana. Różnica w tem, że pierwsze jest rozleglejsze od drugiego i że na drugim wznosi się wspaniały obelisk, uwieńczony posągiem tego Cezara. I tu i tam głazów i cegieł porozrzucanych mnóstwo, i tu i tam ziemia poorana w kierunkach różnych, i tu wreszcie i tam od rana nieledwie do zmroku, pracują motyka i oskard, to bowiem Forum, jakie dziś widzisz w starej Romie, jest tylko częścią tego olbrzymiego Forum, na którem w dniach uroczystości narodowych, zgromadzali się przedniejsi obywatele.

Dziwnie przejmującym jest widok, kiedy się patrzy na ludzi pracujących nad odkopywaniem głazów na Forum. — Biali od pyłu osiadającego na ich ubraniu, pochyleni ku ziemi, z ostrożnością, by nie nie uszkodzić z tego, co ona zachowała w swoim łonie, gdy zmrok zapadnie i księżyc ukaże ziemi swoje blade oblicze, są oni podobni do duchów, przesuwających się powoli po tym stóleci cmentarzu. Niema dnia prawie, aby nie odszukano w tej skarbnicy podziemnej nowych ciekawych rzeczy i nie dorzu-

cono coś nauce, która nie darmo zwie się nauką przyszłości, bo powołaną jest słusznie do zmienienia w przyszłości poglądów ludzkich na całą historyczną przeszłość. Gdy ludzie ci skończą porozpoczynane tu prace, gdy duchy te znikną z tych miejsc zaczarowanych, pojęcia nasze o wewnętrznem życiu starych Rzymian, zmieniają się do niepoznania, na zamglone pyłem wieków czasy, padnie promień jaśniejszego światła, a uprzedzenia i mylne dziejowe sądy, rozprysną się jak skała Tatrzańska pod uderzeniem młota górników. Dlatego to roboty dokonywane się obecnie na Forum rzymskiem, interesują cały świat cywilizowany, dlatego archeolodzy z obu półkól, z zajęciem, z gabinetów swoich uczonych, spozierają w stronę wartkich wód mętnego Tybru. Tu bo ma zaświtać prawdziwe światło, które rozjaśni dzisiejsze ciemności, tu ukazać się gwiazda mająca być przewodniczką przyszłych pokoleń. Niechaj więc co rychlej zaświta...

Niechaj zaświta i w Colosseum, gdzie także się roboty prowadzą, raz szybciej, gdy są fun-

dusze na poszukiwania, to znowu flegmatyczniej, gdy skarbona municypalna się wypróżni. Niechaj zaświta; zanim to jednak nastąpi, dzisiejsze Colosseum daje już daleko dokładniejsze pojęcie o swoim całokształcie, niż odgrzebane ruiny Forum, o tym placu zgromadzającym w dniach pokoju i wojny, wszystkich Rzymian.

Widziałeś Colosseum na pięknym obrazie, który w roku zeszłym oglądaliśmy obaj w domu dobrych naszych znajomych. Mówiono nam że obraz doskonały i że daje wyborne wyobrażenie o rzeczy. Nie wierz temu. Aby o Colosseum mieć pojęcie, trzeba być tu, wśród tych spieczonych murów, stąpać po tych omszałych zrębach, dotykać ręką tych wilgotnych i zimnych galeryj, żaden pendzel nie zastąpi w tem natury.

A opis? I opis nie. Jakże bo oddać tę grozę, jaką uczuwamy tu, na tem miejscu, jak te uczucia, które cisną tu się do duszy? Groza to wielka, choć mury te dziś nie są groźne, uczucia silne, choć dziś zmysłów nic tu nie drażni, choć dla wywołania ich, trzeba dopiero

na myśl wspomnienia przeszłości przywołać. Chodzę po Colosseum i widzę co?

Na tych galeryach, zachowanych tu tak wybornie od zagłady, siedzą dziesiątki tysięcy widzów, na tej arenie snują się setki uzbrojonych ludzi. W tej oto łoży siedzi możnowładny Cezar. W tem oto miejscu, staje muskularny gladyator. Cezar, — siła i gladyator, — siła, ale tamta rozkazuje, ta słucha. Słucha ślepo, bydlęco, aż do zaparcia własnego tchu w piersiach. Cezar skinął, gladyator podniósł rękę do góry, a usta jego wyszeptały poddańcze słowa: „pozdrawia cię ten, który wkrótce ma umrzeć!“. I umiera. Tłum klaska, Cezar się śmieje, hakami trupa wyciągają do nory i... chwilę cicho...

I znowu patrzę.

Widzę co?

Na środek zroszonej już krwią areny wtańczają klatkę. W klatce coś ogonem tłucze, ognistemi oczami strzela. To coś, dziecię spalonej pustyni, bestya krwi chciwa. Tygrys. Zgłodniały (gdyż od dni kilku nic nie dostał), chodzi nie-

spokojnie wśród swojego żelaznego więzienia, węsząc dla siebie pożywienie. Aż oto tłum się z miejsc swych podnosi, z piersi tysięcy wydobywa się wściekły ryk. Tygrys zwraca się w stronę, gdzie oczy wszystkich patrzą, z wyciem ludzi łączy się bestyi wycie. Na środku areny ukazuje się młoda kobieta. Schwytano ją koło grobu Metelli, gdy oparłszy dwa drewnianka w krzyż złożone o ściany grobu, na kolanach odmawiała jakieś modlitwy. Chrześciana, a że edykta cesarskie na śmierć skazują bluźniących bogom chrześcian, więc da życie. Niestrwożona widokiem dzikiego zwierza, podnosi oczy do góry, ręce na piersi składa, a za chwilę potem... tłum klaszcze, Cezar się śmieje, słudzy cyrkowi zasypują piaskiem kałużę krwi.

Czyż jaki pendzel, czyż jakie na świecie pióro odda dokładnie to, co się tu na tem miejscu widzi, to co się tu, chodząc wśród tych murów, uczuwa. A jednak to się widzi, to się czuje. Widzi się w tym umierającym gladiatorze, rozkład starożytnego świata, w tej

pożeranej dziewczynie tryumf wiary, która dawną skruszyła. Widzi się więcej: ogrom złości ludzkiej, głębie przesądu, natężenia nadludzkiej siły, wszystko to prysło, jak tabliczka lodu pod promieniem ożywczego słońca, wszystko rozpadło się w strzępki, wszystko strawiło się ogniem własnym. A co z tego wszystkiego dziś pozostało?

„Patrz, w okół ciebie na rzymskiej równinie,

„Co zostało z dumy?

„W pośród pustyni mętny Tyber płynie,

„W koło zwalisk rumy.

„I tu chadzali w purpurze i złocie,

„Niesprawiedliwości,

„A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie

„Nad prochem ich kości.

„I tu mawiali: wytracim narody,

„Roma jedna będzie,

„Patrz, w okół ciebie jak pasą się trzody,

„I bluszcz pełza wszędzie“.

Ze świątyni rozkoszy pogańskiego świata tyle tylko. To zaiste niewiele, jak na ten świat, ale dość jako nauka dla świata chrześcijańskiego, dość dla tych, którzy tu władzę mają, i dla tych, którzy tej władzy są pozbawieni. Nauka

jasna, prosta a jak prawdziwa. Tylko że niestety, niekażdy korzyść z niej chce odnieść.

Co zostało z dumy?...

.

W ogóle to, co ci o wrażeniu jakie Colosseum sprawia, piszę, dałoby się zastosować do wszystkich prawie budowli starej Romy. Czyż bo one wszystkie nie były areną bądź wielkich zbrodni, bądź cnót wielkich, które się w strugach krwi wylanych zbrodniczą ręką kąpały? Czyż bo nie spoczywa na nich wszystkich ten pył zamglonej starożytności, która była rodzicem krwawym dzisiejszych czasów, czyż nie spoglądają one wszystkie okiem, które widziało zarodki cywilizacji dzisiejszej? Zaiste tak jest, zgodzi się na to ze mną każdy, i przechadzka z tego względu wśród rumowisk przepadłego miasta, podobną jest do wędrówki tułacza, po przez całe pokolenia szeregi.

Oto na przykład ten wielki gmach. Wspaniały jak cyrk, obszerny jak cezara mieszkanie. To Dyoklecjana Termy. Termy, co to? Niech odpowie ci na to pytanie Bulwer:

Rzymianie z powodu upałów, kąpali się często, zazwyczaj w porze przedobiadowej, naprzód w zimnej, potem w ciepłej wodzie. Wszystkie niemal domy w mieście i na wsi, zaopatrzone były w łazienki. Agryppa pierwszy zaprowadził kąpiele publiczne, w których za darmo, albo za miernem wynagrodzeniem, można było wykąpać się w zimnej wodzie, albo w ciepłej, lub w łaźni parowej. Oprócz tego, w takich zakładach kąpielowych, znajdowało się mnóstwo przybranych mieszkań, ogrodów i placów.

Gdziekolwiek obok łaźni stawiano sale do ćwiczeń gimnastycznych, urządzano stawy do pływania, ogrody, sale do gry w piłkę, pokoje do rozbierania się i nacierania wonnościami i balsamami. Zwyczajnie kazano się w kąpieli szczotkować; szczotki do tego użytku służące, robione były z drutu i miały osobne skrzynki do schowania. Olejki i wonności przechowywano w odpowiednich naczyniach. Dozór nad sukniami mieli niewolnicy.

Kąpiele publiczne pierwotnie urządzone były przeważnie dla ubogich, bo każdy zamożniejszy

miął urządzoną łaźnię w domu swoim. Z czasem wszelako, coraz więcej osób wszelkiego stanu zaczęło je odwiedzać, bo tam znajdowały one sposobność do miłego przepędzenia czasu i rozrywki.

Tyle Bulwer. — Czyż ze słów powyższych nie widzisz, jakie znaczenie miały w starym Rzymie publiczne łaźnie, owe Termy, których ruiny piętrzą się dziś nad Tybrem w różnych stronach? Były one kąpielą i więcej niż kąpielą, bo tu Rzymianin przyjmował odwiedziny gości, tu się zabawiał gimnastycznemi ćwiczeniami, tu zasiliał swój umysł czytaniem Homera, lub Wirgilego. W trzech więc miejscach: na Forum, w Cyrku i tu, spływał w pokoju żywot jego cały, dnie tylko wojny gromadziły go w obozie, a dnie uroczystości w świątyni. Gdy Forum odsłonięte w całości zostanie, w Colosseum poszukiwania ziemne ukończą, a rozległe ruiny Term otrząśnięte zostaną zupełnie z pyłu wieków, — przyszły i prawdziwy już na szczęście dziejopis wewnętrznego żywota Rzymian, będzie miał zadanie tak ułatwione, jak dajmy na to,

przyszły historyk polski, po wydrukowaniu wszystkich rękopisów i pamiętników, zalegających do dziś dnia poddasza szlacheckich dworów i piwnice klasztorów.

Dziś już, po obejrzeniu tego co na Forum, w Colosseum i w Termach pozostało, można mieć wyobrażenie o tem życiu i, drogą dedukcyjnej metody, przed oczy przedstawić sobie ten świat wspaniały i zepsuty, który choć potężny i wielki, padł pod ciosami nieokrzesanych narodów, gdyż stał na glinianych nogach, na gruncie przesiąkniętym krwią.

Termy Dyoklecyana zachowane są wcale dobrze. Mury miejscami dźwigają się tak wysoko, a może i wyżej niż w Colosseum, posadzka miejscami zachowana tak dobrze jak nigdzie. Ułożona z kamyczków drobnych, świadczy ona wymownie o tem, że Rzymianin nie tylko dbał o wygody i przyjemności cielesne, ale że oko jego lubiło, co więcej, rozkoszować się doborem barw i harmonią kształtów. — Ale to są rzeczy dawno znane, upodobanie to Rzymian przebija we wszystkim co stworzyła ich

cywilizacya, zarówno w drobnych figurkach ozdobiających biurka lub kominy, jak w kolosalnych statuach, potężnych swoją nagością i mową wdzięków i muskułów.

Kiedym zwiedzał Termy Dyoklecjana, prócz mnie i mojej żony, w olbrzymim tym budynku, nie było nikogo więcej. Cudzoziemcy nie mogą znieść nadzwyczaj gorącej pory, a którzy tu roją się zwykle w chłodnych miesiącach, powynosili się już do kąpielowych miejsc na północ; błakaliśmy się więc tylko oboje po tych miejscach uciechy i wczasu świata który skończył, nie pozostawiając w sercach żalu po sobie. Wobec ogromu budowli, majestatyczności ruin, wyglądaliśmy jak para Pigmejów nie z tej ziemi, która z dozwolenia jakiegoś pogańskiego bóstwa, w chwili snu miejsc tych stałych mieszkańców, Tytanów, stąpała bezkarnie, wglądając w szczegóły budowli olbrzymów, lękliwa, by się nie przebudziły Tytany i nie spytały o nieproszonych odwiedzin tych powod. Ale Tytany spały sobie snem nieprzespanym, razem z tym światem, który zaludniały przed wiekami, a świat

nowy mógł się naszymi oczyma, dowoli przyglądać ich grobowcowi, pomnikowi ich burzliwego życia, świadkowi ich rozmiękczających ciało przyjemności.

Na Forum, powiedziałem ci wyżej, starzy Rzymianie załatwiali publiczne sprawy, bawili się w Cyrku i wypoczywali w Termach, i dodałem, w tych trzech miejscach streszczało się całkowite ich życie w pokoju. Czy tu tylko? Oto widzę obok jakiś budynek, na szczycie którego dźwiga się niewielki krzyż, oto rozciąga się tam podziemna murowana pieczara i wiję droga usypana drobnym szabrem. Świątynia ta: W est a, pieczara: C lo a c a M a x i m a, a droga: V i a A p p i a. Pierwsza, owoc ich religijnego ducha, dwie drugie, prac i zabiegów owoc.

Popatrzmy na pierwszą i dwie drugie.

Dwojakim kształtem budowali starzy Rzymianie swoje świątynie: w stylu greckim, w formie podłużnego czworoboku i owalne, coś dajmy na to, w rodzaju kościoła Ś. Magdaleny w Paryżu. Ale jeżeli rzymskie świątynie różniły się

zewnątrznym wyglądem, podobne zato do siebie były wszystkie wewnątrz. W środku każdej znajdowała się tak zwana Cella, w której zazwyczaj był wizerunek bóstwa, nadto, zdobne malowidłami miejsce do składania ofiar, i miejsce najprzedniejsze, do którego sami tylko kapłani wstęp mieli. Przed Cellą i poza nią były place otoczone kolumnami, składy „narzędzi świętych“ i mieszkania dozorców.

Świątynia Westy odznacza się owalnym kształtem. Małeńka, służyła snąć tylko za kapliczkę, gdyż niewielka jej Cella, niewielu pobożnych pomieścić mogła. Jest ciekawą z tego względu, że dochowała się w tej formie, jaką wycisnęła na niej starożytność. Inne świątynie pogańskie, Rzym chrześcijański przerobić kazał i pozamieniał na katolickie kościoły, świątynia Westy pozostała tem czem była, bo ołtarz umieszczony wewnątrz i krzyż postawiony na jej szczycie, niewiele ujęły z jej pierwotnego charakteru. Kto zatem chce o pogańskim chrampie mieć dokładne pojęcie, niech Weście przyrzy się uważnie.

A teraz owoc prac inżynierskich Rzymian. Kładę nacisk na wyraz inżynierskich, o pracach ich bowiem naukowych każdy wie, a pono najwięcej my, prawnicy, których Cywilny Kodeks, opiera się na zasadach przez nich wytworzonych.

Jak powiedziałem, zaliczają się do nich Cloaca Maxima i Via Appia. — Pierwsza służyła do odprowadzania ścieków poza miasto, druga do komunikowania się z prowincją. Monumentalne te dwa dzieła godne są zaiste widzenia. Jak wiele z tego co rzymianie stworzyli, przetrwały one wieki, lecz nie dość na tem że przetrwały. Dziś oddają te same nam posługi, co ongi, dawno pokoleniom zmarłym. Mimowoli, gdy patrzysz na nie, myśl ci przychodzi do głowy, ażali po kilkunastu stuleciach, to, czem się szczyci cywilizacya dzisiejsza, będzie jeszcze służyło tym co po nas tu przybędą; ale widząc z jakim pospiechem u nas się wszystko tworzy, zwątpienie opanowyywa twój umysł. Tak jest, opanowyywa, i nic w tem zaiste dziwnego; co wieki bowiem się tworzyło,

mogło też słusznie przetrwać wieki, lecz co chwila do życia powołuje, motylem życiem żyć już musi. Jest to pewnik, ale niechaj to nam humoru nie psuje, wszak wiesz, że zasadą dzisiejszych czasów jest „billig aber schlecht“ i „après nous le déluge“.

Ot i masz cały Rzym stary, ową Romeę, której tak byłeś ciekawy. Forum i Cyrk, Termy i Westa, Cloaca i Via Appia. To wszystko. Może kto inny dodałby do tego jeszcze z kilka publicznych gmachów, ja na tem poprzestaję. Sądzę, że kto to widział, widział wszystko, chyba że patrzył na to oczami dziecka, i że nie rozumiał tego na co patrzył. Poprzestań więc i ty na tem, i ciągnij z tego taką naukę, jaką za stosowną uznajesz, ja moją już wyciągnąłem.

Wychodź więc teraz ze mną z tego świata ruin, bo ci już żadnych innych nie ukażę, gdyż oto tuż pod moimi nogami, rozciąga się świat ci nieznany, świat kreci, który świat tamten do ruin doprowadził. Zstąpmy do świata tego. Kiedy Cezarowie, z pobudek zapewne więcej

politycznych niż religijnych, wzięli się do prześladowania Nazarejczyków, zmuszeni ci ostatni zostali kryć się pod ziemią, dla ocalenia życia i tych zasad, które w razie ich wytępienia, mogły być wystawione na szwank. Więc zaczęli opuszczać niegościnnie mury Rzymu, ale przeczuwając snać dobrze, że ztąd właściwie, niby ze słonecznej tarczy, mają się rozejść po świecie promienie nowej wiary, nie wynieśli się gdzieś daleko, lecz wkopali się w grunt, i siecią podziemnych kanałów, niby obręczą, otoczyli pogański gród. Obręcz była bezbronna, jak ich wiara, której cześć oddawali, przecież spełniła posłannictwo obręczy żelaznej, zmiażdżyła ścianą dokoła których się rozciągała.

Katakumby ciągną się więc w różnych kierunkach dawnej Romy, ale jedne do drugich są podobne. Ztąd widzieć jedne, znaczy tyle, co zobaczyć wszystkie; wszędzie bowiem ta sama konstrukcja, wszędzie te same wspomnienia na ścianach, niby korale na obrazach świętych, porozwieszane. — Ja zstępuję do katakumb Ś-go Sebastjana, z wnętrza kościółka

wznoszącego się przy Via Appia, pod wezwaniem tego świętego.

Jak wyglądają Katakumby? Z długą woskową świeczką, za zakonnikiem postępującym naprzód, wchodzisz do głębokiej piwnicy, pod posadzkę świątyni, i nagle wilgoć i ciemność przyjmują cię w swoje objęcia. Widzisz świat, z celami do mieszkania, ulicami do chodzenia, grobami do chowania zmarłych. — Tu napis, świadczy że w tej norze mieszkał ten z bojowników świętej wiary, tu kości porozrzucane w nieładzie, wymownie mówią, że to jest cmentarz męczenników, a jeszcze dalej galeryja, gdzie chadzali pierwsi chrześcianie do kaplicy, tam oto wydrążonej w czarnoziemiu. Wszędzie napisy, krzyże, znaki, wszędzie atmosfera ciężka, jak gład tłocząca ci pierś. Wierzyć nie chcesz, że tu ludzie długie lata przemieszkować mogli, że tu utworzyli najstraszniejszy w dziejach spisek, ofiarą którego stał się cały owoczesny świat, dreszcz cię przechodzi na myśl, że mogli tu oni wszyscy być zduszeni, podziw że bezbronni i słabi zamienili w proch i zdusili pogański

Rzym. Jak gdyby wiedząc o tem, że każdy tak a nie inaczej myśleć tu musi, zakonnik postępujący przed tobą, żadnych ci objaśnień nie udziela. Kroczy w milczeniu, jak cień. I ty za nim pocichu dążysz, jak gdybyś bał się zakłócić tę uroczystą ciszę, jaka tu panuje od wieków, jakiej już nie zakłóci nigdy pewno żadna na świecie burza.

Ale atmosfera ciężka nie przestaje cię dławić, patrzysz na wszystko i podziwiasz wszystko, lecz ci tęskno do powietrza, ciepła i światła. Zdaje ci się, żeś żywcem już pochowany w grobie, że tu oto w tym wilgotnym dole, miejsce twego ostatniego spoczynku. Drżysz już nie o tych, którzy tu przed wiekami byli, ale o siebie samego, myślisz nad tem, co by się z tobą stało, gdyby jaki przypadek nieprzewidziany, zawalił przed twemi oczami wyjście, i podziwiasz znów tego zakonnika, który tego wszystkiego się nie boi, nie myśli o tem wszystkim. Jak gdyby dla zachęcenia cię do wydoścania się z tej nory, przez rozpękniętą tam oto w górze ziemię, wkłada się do tego grobu

okruszyna światła, wyciągasz dłonie ku temu promykowi, otwierasz usta dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, przyspieszasz kroku, bo ci się świeca dopalać już zaczyna, potykasz się o jakiś przedmiot, grzęzniesz w jakimś mule, nie zważając już na to wszystko, idziesz wciąż z gorączkowym pośpiechem naprzód, i... świeca gaśnie, oczy oślepia ci blask, ciepło ogarnia cię dokoła, jesteś w kościele.

.
Przed ołtarzem Ś-go Sebastjana, nogi same uginają ci się w pokorze, głowa sama na pierś opada. A usta? Usta wymawiają te oto słowa, które powtórz i ty za nami... „i światło świeciło w ciemnościach a ciemności go nie pochłonęły“.

Te słowa, to Roma stara. A teraz bywaj mi zdrów!

Twój.....“

V.

Do Neapolu i w Neapolu. — Widzieć i umrzeć. — Wrażenie ogólne. — Amfiteatr najpiękniejszy w świecie. — Akwaryum i Muzeum Narodowe. — Posilippo i Grota Lazurowa. — Na Capri i w Sorrento.

Niecałe ośm godzin drogi oddziela Rzym od Neapolu; każdy więc kto się raz znajdzie w wiecznem mieście a ma czas i w kieszeni pieniądze, ten nie może oprzeć się gorącej pokusie zobaczenia lazurowej zatoki i tego czarodziejskiego grodu, rozsiadłego amfiteatralnie nad jej brzegiem, który wedle wyrażenia utartego, widzieć warto, aby potem spokojnie już umrzeć.

Wyjeżdżasz więc z Rzymu popołudniowym pociągim, jedziesz krajem zrazu polistym, później górskim, widzisz wszędzie zieloności mnóstwo, tu piętrzy się winograd ku górze, tam

w dali smutny cyprys rozwija, gorszysz się głosmami rozmowami twoich sąsiadów południowców, kłócących się o to czy Francya ma prawo tamować rozwój włoskiego wpływu w Afryce i nie pozwalających ci spokojnie snić o tem co widziałeś w Rzymie, co w Neapolu zobaczysz, dziwisz się wreszcie, czemu tak bliskie miejscami od kolejowych szyn morze, nie ukazuje się w dali twemu oku, i nakoniec po godzinie 10 wieczorem, osiągasz kres podróży twojej: — Neapol.

Jak widziiny ze słów powyższych, droga z Rzymu do Neapolu niczem szczególnem się nie odznacza; — kraj biedny, przeludniony, nie ukazuje nic ciekawego, gdyby więc nie chęć zobaczenia wspaniałych wybrzeży Neapolitańskiej zatoki i ognistej góry, wyrzucającej pod obłoki słupy ognia i dymu, nikt pewno z przybywających tu z północy, nie jechałby tam na dalekie południe, wiedząc zwłaszcza, że go oczekują upały straszne, które na nieprzywykłego do afrykańskiej spiekoty, wpływ daleko dotkliwszy wywierają, niż podbiegunowe śniegi i mrozy.

Więc nęci Neapol każdego. Tak jest nęci.

Cóż w tem dziwnego chociażby dla tych tylko,
którzy czytali wezwanie poety do tego miasta:

„Znasz li ten kraj
„Gdzie cytryna dojrzewa,
„Pomarańcz blask
„Majowe złoci drzewa?
„Gdzie wieńcem bluszcz
„Ruiny dawne stroi,
„Gdzie buja laur
„I cyprys cicho stoi?
„Znasz li ten kraj?”.

Każdy się zapytuje w ten sposób siebie,
kiedy się znajdzie w wiecznem mieście i odpowiadając na to pytanie: „nie“ rzuca się do wagonu, nie zważa na skwar i nudę, pędzi bez tchu po kolejowym torze i uspakaja się wtedy dopiero, kiedy gwar olbrzymiego miasta doleci jego uszów, kiedy powiew czarującej zatoki przyniesie mu tak pożądaną chłód.

Jestem więc i ja w Neapolu. Obszedłem już pyszną choć brudną Chiaję, przypatrzyłem się piekielnemu ruchowi na Santa Lucia, spacerowałem po Villa Nazionale, przejechałem ulice Toledo i Wiktora Ema-

n u e l a, przyjrzałem się Teatrowi S a n - C a r l o, zwiedziłem Królewski pałac, jakież więc to wszystko wrażenie pozostawiło po sobie we mnie? Sądzę, że takie, jakie pozostawiłoby w każdym, kto nie od wczoraj wędrował po grodach Europy, a które dałoby się streścić mniej więcej w następujących lakonicznych słowach:

Ranek — skwar, zaduch. Przekupnie wrzeszczą bez miłosierdzia windując owoce i jarzyny sznurami na trzecie piętra. Wszędzie brudne i odrapane mury, wszędzie olbrzymi ruch pieszy.

Południe — skwar coraz nieznosięjszy, coraz przykrzejszy zaduch. Na ulicach ruch się wzmacza. Dorożki i tramwaje przebiegają w różnych kierunkach miasto. Słońce pali strasznie, a drzewa nigdzie tak pożądanego zwłaszcza tu chłodu, nie dają. Gdzie okiem rzucisz kupy śmieci napęlniają nieczystymi wyziewami powietrze.

Wieczór — wreszcie zaczyna się robić chłodniej. Ruch na ulicach nie ustaje. Droga na Posilippo suną pyszne powozy zaprzężone wspa-

niałemi końmi. Od morza świeży podmuch wiatru przynosi tak wyczekiwany od samego rana chłód. Oddychasz pełną piersią.

To Neapol. Jaskółcze gniazda uwieszone po bokach wysokiej góry, środkiem ich kręte i brudne ulice ciągnące się w zygzakowatych liniach, a u spodu morze niebieskie, bez fali, spokojne. To Neapol.

Tak się przedstawia widziany z lądu, ale gdy w barce kołyszącej się niby kolebka dziecka, puścisz się o wschodzie księżyca na wodę, gdy ujechawszy staj kilka, nagle się zwrócisz i wzrok pošlesz przed siebie, oczom twoim ukaże się wtedy widok, jakiemu równy, nie wiem czy gdzie w Europie się roztacza, chyba może po nad brzegami czarownego Bosforu, u wrót grodu, który w łonie swoim zaklął wszystkie wschodu i Zachodu piękności.

Bo proszę patrzeć. Morze nademną i morze podemną i dwa, jak o Świteziu poeta mówi, widzę księżyce. Morze górne zlewa się z dolnem, tworząc z niem kulę bezbrzeżną, majestatyczną, lazurową. Po prawej stronie kuli, ogni-

sty płomyk strzela od czasu do czasu pod obłoki. To Wezuwiusz. Na lewo piętrzy się góra porośła pinjami i palmami. To Posilippo, a na froncie amfiteatr oświecony milionem światel, rojny setkami tysięcy ludzi, to Neapol.

Wszyscy podróżnicy jednoznacznie zgadzają się na to, że Neapol, brudny i niemile woniejący gdy się mu z wewnątrz przygląda, z zewnątrz od strony zatoki obserwowany, daje krajobraz wspaniały w całym znaczeniu tego słowa. I ja się z niemi zgadzam. Ani jeden dom w Neapolu, ani jeden z nielicznych zresztą jego kościołów, nie uderza niezwykłością swojej architektury; wszystko tu proste i bez gustu, wszystko po nad granice pospolitości nie wystrzela. Patrząc na to, zapominasz nieledwie chwilami, że się znajdujesz we Włoszech i to w największym kraju tego grodzie, we Włoszech, gdzie przecież najmniejsze miasteczka świadczą o dobrym smaku i to zarówno ubiorem zdobiącym ich mieszkańców jak i liniami budowli, przyozdabiających ich ulice i place. W Neapolu nic nie pociąga, nic nie przykuwa

do siebie, wszystko natomiast składa się na to, że ci nieprzyjemnie i duszno w tem skalistem mrowisku, że wydostać się z niego chciałbyś jaknajprędzej.

Może to i dobrze jest, myślę sobie, że Neapol tak biednie wygląda, wobec bogactw natury rozsianych poza murami jego dokoła, może gdyby wewnątrz niego wszystko inaczej się przedstawiało, zewnątrz mniej byłby on niż dziś zwiedzany. I stałby się skutkiem tego grzech nie do odpuszczenia, grzech śmiertelny, bo zewnątrz dopiero swoich murów, Neapol usprawiedliwia w zupełności orzeczenie włoskiego przysłowia: „zobaczyć i umrzeć“.

To też Neapol zewnątrz, roi się przez trzy kwartały roku tłumem przyjezdnych, to też zewnątrz tego miasta, słychać wtedy języki wszystkich krajów Europy, zewnątrz widać typy stron wszystkich. Zarówno Baję jak Sorrento, Pompeję jak Portici, Capri jak Posilippo, przepelnione są wtedy choremi i zdrowymi, którzy opuszczają strony północy, biorą rozbrat z otoczeniem ojczystem, by tu na połu-

dniu, pod tem wspaniałem niebem, przepędzić choć kilka miesięcy w życiu, odzyskać stargane w domu zdrowie, lub na łonie czarodziejki urody, w pośród woni upajającej róż, zapomnieć o cierniach i bólach domowych.

Trzeba przyjść i zobaczyć jakie tu wspaniałe gniazda, brudni i niechlujni Neapolitańczycy, usłali dla przyjezdnych, jak otoczyli je dokoła zielenią i woniejącem kwieciami, jak iudogodnili do nich przystęp. Patrząc na tę kieteryę pod tym względem, ludu najleniwszego i najniebalszego w Europie, widzisz jasno, jak silnym dla człowieka bodźcem do czynu, jest chęć zysków i polepszenia swego losu. To też śmiech cię nieraz pusty przejmuję, gdy jedziesz rzędem tych uroczych nad brzegiem zatoki villi, gdy widzisz garsonów umytych i wystrojonych, zapraszających cię wdzięcznie do ich wnętrza przypomnisz sobie jak wszystko wygląda w Neapolu, gdzie ten sam lud jest u siebie w domu, nie obcym niema do sprzedania i niczego od obcych spodziewać się nie może.

Bądź jak bądź, wszędzie ville są tu dokoła

miasta urocze. Na Posilippo mniej ich niż w Bajach, w Bajach mniej niż na Capri, na Capri mniej niż w Sorrento. Ale są wszędzie. Drobne, wdzięczne, gustowne, szwajcarskie i więcej niż szwajcarskie, bo dokoło ich niema gór śnieżnych i lodników, ale lasy pomarańcz i cytryn. A tu i owdzie samotny cyprys stoi, tu palma na wolnem powietrzu rośnie, tu rozłożysta korona pinii się roztacza, a tam karłowaty kaktus, niby ów dąb Mickiewiczowski, „włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty“ przegląda się w lustrze zatoki, która oplukuje jego stoletnie korzenie. A nad tem wszystkim? Niebo jasne, przejrzyste, lazurowe, wolne od tych chmur pierzastych, kłębiastych i warstwowych, które wiszą ponad naszemi głowami w kraju, zaciemniają nam tak często słońce, niemniej przecież drogie są naszemu sercu, bo pod ich cieniem wzrastało i rozwijało się to wszystko, co nam jest najdroższego na tej ziemi...

Ale tak mnie porwały wspaniałości natury, hojnie porozsiewane wzdłuż Neapolitańskiej za-

taki, żem przepomniał dla nich o dwóch instytucjach Neapolu, które przecież godne są widzenia: o Akwaryum i Muzeum Narodowem. Poszedłem w tem, śladem zwiedzających te miejsca, którzy znalazłszy się raz w mieście i zniechęceni jego zewnętrznym wyglądem, wymykają się corychlej na świeże powietrze, a nasyciwszy się dopiero widokami i upoiwszy wonią kwiatów, powracają, by powetować stratę i rzuścić okiem na to, co rzeczywiście na uwagę tu zasługuje.

Akwaryum Neapolitańskie mniejsze jest daleko i mniej wspaniałe od Berlińskiego, które nie od dziś imponuje i słusznie całej Europie, przecież w rzędzie akwaryów innych krajów, zajmuje wybitne miejsce. Położone w samym środku alei spacerowych w Villa Nazionale, o parę setek zaledwie kroków od morza, mieści we wnętrzu swoim takie ryby, jakich darmobys szukał w miastach posuniętych bardziej od Neapolu w głąb kraju. Tu więc masz przed oczami takie okazy, do życia których niezbędną jest ciągle świeża mor-

ska woda, tu w miniaturze widzisz dno oceanu, tak ciekawe, a dotąd przecież tak tajemnicze.

Kiedyśmy zwiedzali akwaryum, odbywało się właśnie karmienie ryb i potworów morskich. Karmiono je robaczkami i rakami. W chwili gdy dobroczynna ręka wrzucała do olbrzymich słoików żywy pokarm, trzeba było widzieć, jaki ruch rozpoczynał się między rybami. Jedne gwałtownie, inne powolniej, niby ukradkiem podpływały wtedy ku powierzchni i uchwyciwszy silnie swoją ofiarę, kryły się w głębiach, by pożreć słabsze od siebie stworzenie. Każda z ryb rozwijała w tem odrębną metodę, każda innych chwytala się środków, by cel pożądaný osiągnąć. A cel ten był dla wszystkich jeden, nakarmić się ciałem obcem, odżywić drugich życiem.

Zupełnie jak w świecie pomiędzy ludźmi, pomyślałem, gdy mnie przebiegał elektryczny prąd, wydzielany przez elektryczną rybę. Jedni krętą, inni prostą drogą zmierzają ku jednakim celom, ku zapewnieniu sobie pomyślności i szczęścia podczas krótkiej wędrówki, jaka sądzoną

tu każdemu z nas jest na tym padole płaczu. Tak, jak gdyby wędrówka ta trwała wieki...

Ale jeżeli Neapolitańskie Akwaryum nie należy do najpierwszych w Europie, Muzeum Narodowe pewno do najpierwszych należy. Wprawdzie zbiór płócien nie bogaty tu i nie wytworny, ale w dziale rzeźb, wspaniałych antyków mnóstwo, a sławny byk Farnezyjski, toć to arcydzieło nad arcydziełami. A dodajmy do tego jeszcze zbiór papyrusów, jakiemu równego nigdzie niema i wykopaliska Pompejańskie jedyne w całym świecie. Patrząc na to co się zwłaszcza w tym ostatnim dziale znajduje, rzekłbyś że jesteś na wystawie w czasach starożytnych, taki tu zasób wszystkiego, od bransolet, ozdabiających rękę elegantek, do figurek kraszących kominki pokojowe. A dopiero gdy się zobaczy pieczywo z Herkulanum, które siedmnaście wieków przeleżało pod nasypem z popiołu, mięso w garnku, jakie przygotowywał dla siebie jakiś smakosz, nie przewidując że go nikt nigdy na świecie przez żołądek swój nie przepuści, wino w amforach, zboże w wor-

kach, jaja roztluczone jak do omletu, a wszystko w twardy kamień zamienione, wszystko nie do użycia już nigdy! Zaiste, oczy wypatrzyć można, patrząc na to, co się w tem Muzeum znajduje, a ktoby naraz chciał ten cały nagromadzony pokarm spożyć, dostałby rękę tak wielkiej niestrawności, że jej nie zdołałyby już uleczyć żadne leki na świecie. To też każdy kto chce się zabezpieczyć od tego niewesołego losu, niechaj sobie Neapolitańskie Muzeum rozłoży na kilka dań, a przyzna pewnie ze mną, że każde z nich, da mu posilne pożywienie na długie lata życia.

.
Piękny był poranek dnia tego, w którym nasyciwszy się już Neapolem i pysznym na całą zatokę widokiem z góry Posilippo, postanowiłem zwiedzić Grotę Lazurową, Capri i Sorento. Wprawdzie słońce przypiekało mocno, ale wiatr chłodzący wiał od strony morza. Nie namyślając się więc długo, wsiałem na statek stojący w przystani, a za chwilę byłem na pełnem morzu.

Wyspa Capri oddalona jest od Neapolu o pięć kwadransów drogi morskiej, Sorrento o półtorej godziny, niezadługo więc po odpłynięciu, ujrzelśmy brzegi pierwszej i czarowne skały drugiego, wpierw jednak mieliśmy oglądać sławną Lazurową Grotę.

Statek wiozący mnie z moją żoną, był statkiem spacerowym, a że to była Niedziela, więc zebrało się na jego pokładzie przeważnie mieszczkańskie, włoskie towarzystwo. Śmiechu więc, krzyku i gwaru było tam co nie miara, jak zwyczajnie wpośród włoskiego otoczenia i w klasie ludzi, która nie zwykła się nikim i niczem na świecie krępować.

Jechaliśmy zrazu powoli bardzo, potem szybciej, kołowaliśmy u wybrzeży zatoki, wreszcie statek zatrzymał się na środku morza. Naprzeciwko nas dźwigała się poważnie skała, u spodu jej widniał niewielki otwór, około nas krążyło mnóstwo łódek. To Lazurowa Grotka.

Schodzimy po wiszących schodkach do łódki i wpływamy do groty. Wpływamy w pochyłonej postawie, otwór bowiem w skale jest tak

mały, iż siedząc prosto w łódce, możnaby się guza na czole nabawić. Za nami wpływają inne łódki i wszyscy wkrótce toniemy w morzu błękitu i lazuru.

Grota Lazurowa jest jednym z ciekawszych wybryków natury. Wyżłobiona potężną ręką przyrody, nie przestaje dotąd i długo jeszcze pewnie nie przestanie, budzić podziwu przyrodników i turystów. Dzięki właściwościom optycznym, jakich nie posiada żadna inna grota na całym świecie, wszystko co się w niej znajduje, naraz zostaje zafarbowanem na niebiesko. Niebieskim więc jestem ja, moja żona, niebieskim jakiś młody brunecik, który z nami zajmuje miejsce w łódce, niebieskimi inne łódki i inni ludzie, niebieską skała, powietrze, woda... Jakieś zaczarowane w tem miejscu bóstwo, zionęło na świat lazurowym oddechem, i wszystko nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, przemienione zostało w lazur. Ale w lazurze rozlanym w tej grocie dokoła, nie możemy długo zostawać. Grota niewielka, więc tylko sześć łódek do niej naraz wpływa, a na

statku czeka tyle osób! Więc ustępujemy miejsca innym.

Podczas gdy inni kolejno wpływają i wypływają z groty, my tymczasem oparci o balustradę na pokładzie okrętu zabawiamy się widokiem zręcznych nurków. Istotnie zręczni oni i śmiali nad wyraz. Za wrzuconą do wody pięciocentymową sztukę monety, wskakują głową na dół do morza i bądź rękoma, bądź też, co daleko trudniejsza rzecz, ustami, chwytają pieniądz, zanim zdoła dobiegnąć dna zatoki.

Lecz oto i statek rusza z miejsca. Chwała Bogu, bo na spiekocie strasznej stoimy tu już od dwóch godzin, mieli nas więc czas unudzić już śmiertelnie i ci nurkowie i ten włos, śpiewający przy towarzyszeniu skrzypiec: „l'Addio bella Napoli“. Rusza statek, ale ruch jego trwa niedługo. Tuż obok groty, roztacza się przystań Capri, tu więc przystajemy nanowo.

Wysiadamy. W przystani istne piekło. Do miasta Capri piechotą iść niepodobna, więc ciśną się do nas przewoźnicy z różnych stron.

Ten zachwala konia, którego za uzdę prowadzi, ten osła, ten wreszcie muła, a każdy klnie i z pod oka na drugiego spogląda, szturga nas i popycha bez miłosierdzia. Nareszcie dostajemy parę osłów i na tych biblijnych rumakach, popędzani przez biegnącą za nami z krzykiem kobietę, tryumfalnie wjeżdżamy do stolicy wyspy.

.
Na jednym ze wspaniałych swoich płócien, znakomity twórca „Świeczników Chrześcijaństwa“ Siemiradzki, przedstawił Tyberyusza na wyspie Capri. Obraz ten żywo stoi mi w pamięci. Zgrzybiały rzymski tyran i rozpustnik, przedstawiony jest przez artystę w chwili, gdy ujawszy się za boki, w gronie kobiet, plugawiących czcigodne kobiety miano, wyprawia płasy po nad brzegami szafirowej zatoki. A obok niego, jeden z równie podłych jak on sługusów, strąca w przepaść ofiarę jego samowoli, i krew czerwona, ciepła jeszcze i nieskrzepnięta, tryska strugą pod nogi tańczących.

Chociaż wiele już wody upłynęło od chwili, gdy się na Capri takie okropne sceny działy,

przecież tradycja ich, żywo dotąd tkwi w sercach mieszkańców.

— Patrz pan, — opowiadała mi prosta kobieta, — ta oto skała nosi miano Tyberyuszowej skały. Z woli tego cezara, z wysokiego jej wierzchołka, spychano do wody tych, którzy nie chcieli stosować się do jego rozkazów.

Italio, piękna Italio, — pomyślałem, — słysząc te słowa, — boski twój powiew ciemnych prostaczków w oświeconych ludzi zamienia, każde twoje miejsce to żywa księga, z której się wszyscy zapoznają z twoją przeszłością wielką, każdy szmer twego czarodziejskiego morza, to źródło tej harmonii uroczej, która odzywa się w skargach twójego nieszczęśliwego i głodnego ludu... Bądź pozdrowiona, o piękna Italio!

.

Sorrento!

Gdzie okiem rzucę, pustki. Na pysznej górze, pod pysznem niebem, mnóstwo porozrzucanych pysznych villi. Wszystkie ogołocone z ludzi. Po nad dachami temi powiał wiatr morowej zarazy, w okienka te zajrzał upiór o tru-

piej twarzy. Zaraza i upiór, to słońce. To co ożywia wszystkich teraz gdzieindziej, tu zabija, to co gdzieindziej ruch przynosi, tu darzy śmiercią. Przyjezdni pouciekali het na północ, miejscowi pochowali się w cieniu drzew, i pusto, biednie i smutno teraz na tym wspaniałym przykładu, gdzie tak niedawno jeszcze było tyle gwaru i wesela.

Ale choć ponuro tu i grobowo, przecież poezyi rozlanej tu dokoła mnóstwo. Wszystko nią żyje, wszystko nią oddycha: i te pomarańczowe lasy tam wdali na drodze do Castelamare, i te palmy, które u się na hotelowych podwórkach kołyszą, i to powietrze, które pieści listki rozkwitającej róży i te fale, w których się ta róża przegląda. Myślisz o tem, jak tu uroczu musi byś wtedy, gdy te poetyczne lecz nieme strony, ożywią bicia poetycznych serc, gdy jedne i drugie przebiegnie prąd elektryczny, gdy zadrżą jedne i drugie pod wpływem wzajemnego zetknięcia. Myślisz o tem, i staje ci znowu przed oczami pędzel mistrza, który tyle uroku potrafił wlać w prostą sielankę ponad przestworami tych wód. Myślisz i o czem

innem jeszcze, o swoim kraju, gdzie teraz tak wilgotno i zimno, o swojej matce, którą zamknąłeś w łonie ziemi, o tem co stanie się z tobą i z temi co kochasz, jutro, o tem co stanie się z nami za lat dziesiątki. Głowa ci na pierś opada, przed wzrokiem roztacza się morze lazuru, potem jakaś szara, ciężka mgła, — nie widzisz nic i tylko krew wulkanicznie napływająca ci od czasu do czasu do głowy, mówi wyraźnie, że jesteś jeszcze z tego świata.

To -- Sorento.

VI.

Do Pompei i w Pompei. — Na Wezuwiuszu. — Zakończenie.

„Nad ziemią roztacza się powłoka mgły, króla kryje przed naszymi oczami wyspę Capri. Matka moja prosi mnie i zaklina, abym ratował corychlej życie moje. Mówi mi ona, że w moim wieku przyjdzie mi to z łatwością, podczas gdy sama, stara i otyła o ratunku dla siebie myśleć nie może; dodaje wreszcie, że umrze szczęśliwa, jeżeli nie będzie przyczyną mojej śmierci. Na te słowa odpowiadam jej z mojej strony, że tylko z nią o ratunku myśleć mogę; biorę ją zatem za rękę i zmuszam do towarzyszenia mi. Z trudnością postępuje ona za mną, wyrzucając sobie co chwila, że powstrzymuje osobą swoją moje kroki.

„Tymczasem popiół, acz w małej ilości, zaczął już padać na nasze głowy. Odwracam

się i widzę za nami gęsty obłok, ścigający nas z pospiechem i rozlewający się dokoła. Zejdźmy z głównej drogi, — odzywam się, widząc to, do mojej matki — inaczej zostaniemy zdeptani przez uciekający tłum.

„Zaledwie usunęliśmy się na stronę, aliści mgła powiększyła się w tak wielkim stopniu, że mi się zdało, iż się znajduję wśród czarnej nocy bez księżyca, lub wśród pokoju, w którym pogaszono wszystkie świece. Zewsząd rozlegają się: płacz kobiet, jęki dzieci i krzyki mężczyzn. Tu słyhać jak ktoś woła ojca, tam syna, tam wreszcie żony, i tylko po głosie ludzie rozpoznają się w tem zamieszaniu.

„Znajdowali się pomiędzy nimi nawet tacy, którzy w obawie śmierci, prosili bogów o śmierć samą.

„Wielu wzywało pomocy bóstwa, wielu wątpiło, czy bóstwa jakie istnieją, będąc pewni, że straszna ta noc, jest ostatnią dla całego świata nocą.

„Ja sam pocieszałem się tem, że umrę wkrótce mówiąc do siebie: „świat się kończy“.

„W tym powszechnym popłochu, ludzie zapominali o namiętnościach swoich, i zwracali niespokojny swój wzrok ku ciemnej zasłonie nieba, która zdawała się być śmiertelnym całunem, rozpostartym na trupie świata“.

Temi słowy sławny historyk rzymski Pliniusz młodszy, opisuje cesarzowi Tytusowi grozę wypadku, którego sam był, ocalonym wśród powszechnej klęski, świadkiem. Było to w 79 roku po narodzeniu Chrystusa Pana, w 16 lat po wielkiem trzęsieniu ziemi, które Pompeję zamieniło w gruzy. Miasto nawiedzone trzęsieniem, zaczęło odbudowywać się powoli i oto wybuch Wezuwiusza pogrzebał je pod popiołem i lawą. A pogrzebał tak doszczętnie, że potomni zapomnieli nawet o tem, gdzie pierwotnie wznosiły się Pompeja i Herkulanum i dopiero w roku 1592 przy prowadzeniu rur wodociągowych w Torre dell' Annunziata, wpadli na myśl, że pod ziemią rozpościerają się w dawnym kształcie te dwa miasta pierwotne.

Ale zasługa rozpoczęcia poważniejszych prac około odgrzebania tych miast, przypada dopiero

na czasy Karola III-go. Rozumny ten monarcha, nabywszy na wyłączną swoją własność całe terytorium, na którym stała dawna Pompeja, rozpoczął w roku 1748 poważne poszukiwania, które dały początek tak płodnym później w następstwa odkryciom.

* * *

Pojechaliśmy do Pompei powozem. Wyjeżdża się z Neapolu około godziny 9 rano, jedzie się zrazu ulicami miasta, później przedmieściem, ciągnąc się nad brzegiem zatoki, wreszcie małemi miścinami Torre del Greco i Portici, które wijąc się sznurem ponad wodą, są jakby dalszym ciągiem Neapolu, od którego Pompeja oddalona jest o dwie godziny drogi kołowej. Na niewielkim placu, obok zabudowań drobnych i biednych, wznosi się okazańszy dom. Napis na nim, „Hotel Diomeda“. Zamierzchłej starożytności ten mąż, który od tylu wieków spoczywa w grobie, daje dziś nazwę budynkowi, z którego każdy pragnący zobaczyć ruiny, przejść do nich musi niedługim korytarzem.

Przechodzisz więc korytarz, schody, małą

aleję i jesteś u celu. U stóp twoich Pompeja, a na jej progu małeńkie muzeum. Wstępujemy do tego muzeum.

Aczkolwiek dużo muzeów publicznych miałem sposobność oglądać w życiu mojem, przyznać muszę, że żadne z nich nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, jak małe muzeum Pompejańskie. Powiadam małe, wielkie bowiem Muzeo Nazionale w Neapolu, zabrało z tych miejsc wszystko co poznajdywano w odkopanych grobach; tu więc tylko pozostało to, czego zabrać nie chciano lub nie było można. Ale to właśnie stanowi taką grozę, wywołuje takie niezwykle wrażenie. Bo pomijam rzeczy widziane już gdzieindziej, a tu skrzętnie pozamykane w szafach, jak figurki, świeczniki, naramienniki brązowe, dzbanki, wazy i ołtarze domowe, — na środku sali w oszklonych pudłach, znajdują się już nie szkielety ludzkie, ale ludzie sami, z zczerniałą nieco skórą i skamieniałymi mięśniami, ludzie którzy przeleżawszy pod popiołem i lawą kilkanaście wieków, wyszli teraz na światło dzienne, aby wykrzywionemi od

cierpień twarzami swemi, mówić o okropności chwili, której byli widzami i ofiarami. I nie tylko ludzie o tem mówią, tu widzę konia skurczonego pod wrażeniem cierpienia, dalej pies zaskoczony katastrofą leży z wyciągniętym na ziemi pyskiem, jeszcze dalej kot i królik, a wszystko tak jak w 79 roku, jak w momencie owego dnia strasznego, o którym Pliniusz młodszy tak przerażającemi słowy opowiada.

Otóż widok tych ludzkich i zwierzęcych trupów, tu, w tem muzeum porozkładanych, trupów tak dosadnie przemawiających swoją okropną nagością, jak żaden obraz, opis żaden, wstrząsa całym jestestwem moralnem widza i ślad ognisty, niby wyżłobiony potokiem gorącej lawy, ryje w jego duszy na wieki.

Muzeum stoi u bram odkopanego miasta. Ledwie próg takowego przestąpisz, jesteś już na fatalnem miejscu. Przed tobą ciągnie się wązka uliczka, a tu i owdzie porozrzucane domy bez dachów, mówią ci, że się znajdujesz w grodzie umarłych.

* *

* *

Prawie wszystkie domy, jakie do obecnej chwili odkopano w Pompei, są postawione wedle jednego architektonicznego planu. Wchodzi się więc zazwyczaj w każdym, naprzód do vestibulum albo prothyrum, potem do atrium, dokoła którego znajdują się małe pokoiki sypialne (cubicula), z dwoma pokrytymi salami (alae) i wprost z salą przyjęcia (tablinum). Około tego tablinum znajdują się dwa wąskie korytarze fauces, które prowadzą na zewnątrz domu. Dalej zazwyczaj znajdujemy peristil z innymi salami dokoła, z pomiędzy których wyróżnia się jedna obszerniejsza, nosząca miano exedra. Nie rzadko nadto spotykamy przy tych domach niewielki ogródek (viridarium).

Naturalnie, że w całej Pompei nie znaleziono ani jednego domu, któryby był w dobrym, w całości zachowanym, stanie, niemniej przecież z tych szczątków, jakie wydarto ziemi i obrócono na użytek cywilizowanego świata, widać, że starożytni w tem mieście w taki sposób budowali swoje mieszkania. Jak widzimy

z tego co pozostało, niektóre z tych mieszkań ozdobione były pysznymi freskami, które tu i owdzie wcale nieźle przechowały się na ścianach. Podziwiać trzeba prawdziwie materyały, z jakich starożytni wyrabiali farby, prawie wszystkie bowiem malowidła wyglądają tu tak świeżo, jak gdyby wczoraj dopiero oddalił się od nich malarz.

Z domów, jakie w odgrzebanej dotąd Pompei (gdyż prace około odkopania reszty miasta prowadzą się bez przerwy) znaleziono, bezawodnie jednym z najciekawszych jest dom Diomeda. Jest on dwupiętrowy, a wszędzie porzucane marmury świadczą, że ten, który go zamieszkiwał, do zamożniejszych obywateli miasta był zaliczany. Niestety, nie używał on spokojnie do śmierci swoich bogactw, ośmnaście szkieletów ludzkich znalezionych w tem miejscu, świadczą, że śmierć bogate żniwo znalazła tu, w pośród tych wspaniałych marmurów. Musiały być snąć te mury bardzo drogie ich właścicielowi, kiedy do ostatka pozostawał w nich z swoją rodziną, nie bacząc na to, że Wezu-

wiesz śmierć i zniszczenie się dokoła, i że ratować się trzeba było wraz z innymi przed pochodem jego ognistej lawy. Czyż nie prawdę, pomyślałem sobie, wypowiada Szekspir Romea usty, że złoto więcej złego na świecie zrobiło, niż najjadowitsza trucizna?

W innym znowu miejscu (dom Nr. 6) widać mieszkanie Egipcjanina. Niewątpliwie zajmował go jakiś kapłan z nad brzegów Nilu, znajdując się w nim bowiem malowidła wyobrażające polowanie na krokodyle i sąd Salomona. Tu to fantazyja Bulwera pomieściła owego straszego Arbacesa, prześladowcę pięknej Jony i wiernego jej Glaucusa, zanim sprawiedliwość poetyczna pisarza tego, kazała mu śmierć ponieść w pamiętnym dniu wybuchu. Komu nie obca jest ta zajmująca powieść, ten dziś jeszcze, po 18 wiekach, z prawdziwą obawą spogląda na te ściany, które ożywiał kiedyś duch okropnego człowieka.

Jeżeli jednak pompejańskie domy, jako podobne jedne do drugich, nie przedstawiają zbyt żywego dla ludzi nauki interesu, gmachy i miej-

sca użyteczności publicznej nie przestają i długo jeszcze nie przestaną zwracać na siebie uwagi archeologów całego świata. Oglądamy więc tu z zajęciem świątynie: Jowisza, Herkulesa, Wenerę albo raczej Apollina, Teatr Wielki, Amfiteatr, Łaźnie publiczne, Forum. Wszystko to mniej lub więcej uszkodzone, wszystko porysowane i zawalone kupami gruzów, ale wszystko świadczące jednocześnie o dawnej wspaniałości i bogactwie miasta, które wspólnie z Herkulanum i Stabią rozsiadło się w najczarowniejszem bezsprzecznie miejscu całych Włoch.

Wrażenie jakie dzisiejsza Pompeja robi, da się przyrównać do wrażenia jakiego się doznaje na cmentarzu, lub pogorzelisku olbrzymiem. Stąpa się po trupach i wśród trupów. Dokoła ogołocone z dachów mury podobne są do szkieletów, porozkopywana tu i owdzie ziemia, do dołów oczekujących na nieboszczyków, a strażnicy pilnujący budowli do grabarzy, chwilowo nie mających nic do roboty. Smutno tu więc jak na cmentarzu, i gdyby nie interes i korzyść, jaką się w stąpaniu po tych miejscach okro-

pnych widzi, nikt zaiste nie poddawałby się przymusowi oddychania atmosferą Pompei, która nosi w swem łonie pleśń i jad trupi, rozkładający ludzką krew.

* *

Od ofiary do kata krok jeden. — Stoi on tu nieopodal Pompei, stoi, i niczem dziś nie mówi o tem, jak wielkiej klęski przed 18 wiekami był sprawcą. Niczem, gdyż te wymioty ogniem i lawą, jakie się teraz w nim peryodycznie powtarzają, to tak jakby zabawki dziecinne w zestawieniu z bitwą, podczas której krew ludzka gęsto płynie. Owszem nawet, jego dzisiejszy, zewnętrzny wygląd taki przyjemny i wesoły, iż dziwić się zaiste można, że on kiedyś mógł się okazać nieludzkim i strasznym. A jednak tak niestety było! Ale dziś kat umył sobie w krwi zbroczone ręce, zrzucił suknię czerwona i odpasał miecz, a rozjaśniwszy zachmurzone czoło, uśmiechem wesela i spokoju przyoblekł twarz, pokrzywioną od zwierzęcej chuci.

Rzeczywiście tak jest. Kiedy się jedzie z Pompei na Wezuwiusz, środkiem drogi wijącej się

wdzięcznie wśród domów i ogrodów, kiedy się widzi na każdym kroku zabudowania gospodarskie i twarze tryskające życiem, wierzyć się do prawdy nie chce, że tą właśnie a nie inną drogą płynęła przed 18 wiekami, ognista ku miastu lawa, która zalała je doszczętnie, tak że na dziesiątki wieków całe, śladu po niem nie pozostało; wierzyć się też nie chce, że ludzie są tak, nie powiem już śmieli, ale zuchwali, iż na tem samym miejscu, u stóp tego samego wulkanu, zabudowują się jak dawniej, nie pomni na to, że jeden jego silniejszy wybuch, jeden jego gwałtowniejszy kaprys, w nicosć obróci zabiegi ich tyloletnie, grzebiąc ich samych pod gruzami budowli, które niebacznie i lekkomyślnie powznosili, ku własnemu pożytkowi i wygodzie. A jednak ogrodami i kłombami pełnymi kwiecica dosięga się dziś podstawy góry i dopiero u stóp jej wsiada się na konia, który podróznego wolno podprowadza do miejsca, gdzie się świat zieloności kończy, a zaczynają żuźle z lawy, porozsypywane dokoła w niezmiernej obfitości.

Żużlami więc już temi i piaskiem z lawy dochodzi się do samego krateru, droga jednak jaka środkiem ich prowadzi, do przyjemniejszych w żaden możliwy sposób zaliczoną być nie może. Wprawdzie z drugiej strony Wezuwiusza, dla dogodności turystów, poprowadzono drogę żelazną, nie wszyscy jednak dla wysokiej ceny biletów za jazdę, korzystać z drogi tej tak jakby chcieli, mogą, a zresztą i ona urywa się u progów Obserwatorium, które oddalone jest od krateru o jakie kilkadziesiąt staj. Suchą więc nogą osiągnąć musisz szczyt, a widok jaki roztoczy się wtedy przed oczyma, musi być koniecznie nagrodą za przebyty trud.

.

Jesteśmy więc u samego krateru.

Dokoła nas latają ogniste kamienie, dym gęsty przepelnia wszędzie powietrze, niebo od wyziewów siarkowych przybiera jakiś szaroczerwony kolor.

U stóp wre, gotuje się, kipi. Rzekłbyś że kuźnia całego piekła, kuje tu dla ludzkości jakieś obroże, by ją prowadzić ku wrotom

swoim na pasku zwierzęcych instynktów i namiętności.

Nie do wytrzymania gorąco! Pali z góry, pali na dole, pali po bokach. Co chwila oglądać się musisz, by kamień nie ugodził cię w czoło, co chwila zmieniasz pozycję, by lawa nie dosięgła twych nóg.

Przewodnik przystępuje do ciebie i prosi, byś mu dał sztukę monety.

Dajesz ją, a za chwilę oddaje ci takową oblepioną skamieniałą lawą.

Oglądasz się, widzisz u stóp swoich Pompeję i Neapol. Śmieją się one i roją tłumem ludzi. Tak śmiała się, myślisz sobie, Pompeja, nim skamieniała, zanim się dostała w śmiertelne lawy uciski, tak skamieniałby niezawodnie Neapol, gdyby Bóg nie roztaczał nad nim swojej opieki...

Przewodnik przybliżył się znowu do ciebie i mówi, że niedawno pewna rodzina angielska śmierć tu znalazła, posunąwszy się za blisko ku kraterowi.

Nie przeraża cię to opowiadanie, pragniesz

sam, na własne oczy, zobaczyć ogniste wnętrze...

Pragnienie to, nie przyobleka się przecież w czyn...

Przewodnik usuwa cię gwałtownie od otworu, twierdzi, że on odpowiada za twoje życie, i chcąc nie chcąc, znajdujesz się na dole.

Bóg jest wielki, powtarzasz zdumiony, odwracając raz jeszcze ku górze oczy, niech będzie Imię Jego błogosławione!...

* * *

Pociąg pędzi niewstrzymanym pędem. Mijamy Prerau, nie opuszczając wcale, mimo dłuższego przystanku, wagonu, mijamy Bogumin, przez Niemców na Oderberg przeznaczony.

Zalatuje nas jakiś przyjemny powiew.

To prąd swojskiego powietrza.

Wychylamy głowy z wagonu, przed nami roztacza się zielona dal.

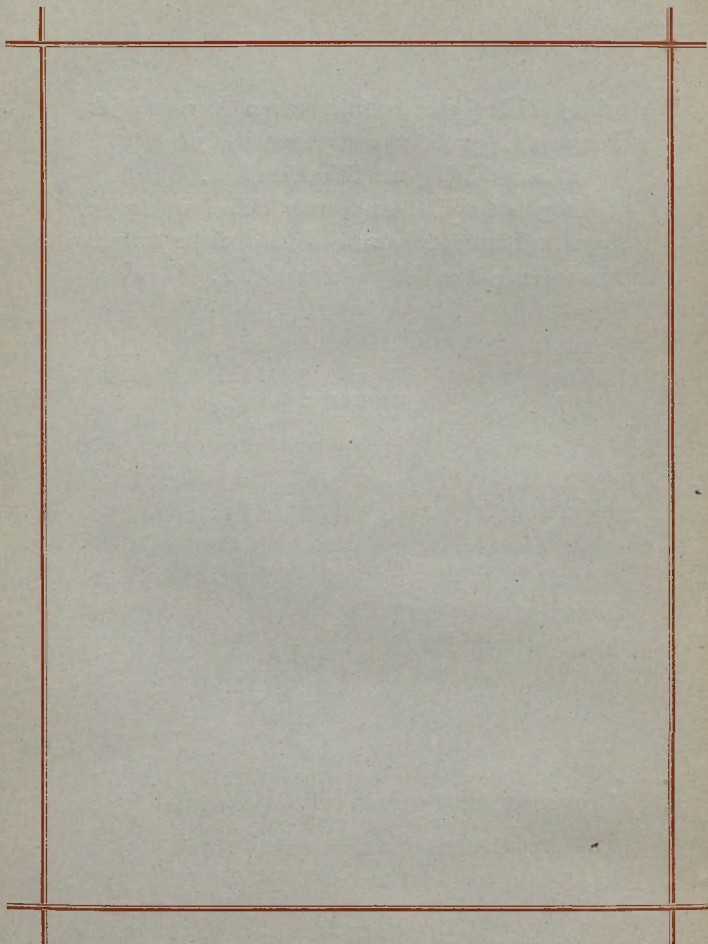
To Szlązk, wczoraj jeszcze zmartwiały w uściskach germanizmu, zasypany, jak dawna Pompeja, ognistymi kamieniami wulkanu, dziś oży-

wiony kielkującym wśród niego życiem, jak
Pompeja, z grobu zmartwychpowstały.

A tam dalej, poza Szlązkiem?...

Bóg jest wielki, szepczemy cicho, wpatrując
się w mgliste, rozwieszone dokoła niebo, niech
będzie Imię Jego błogosławione!...

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

I.

str.

- Z Warszawy do Wenecyi. — Nad modrym Dunajem — Myśli
moje na Kahlenbergu i wdzięczność narodów. — Pontafel
i Ponteba. — La bella Venezia. — Tu zima, tam lato. —
To i owo, o królowej Adryatyku 1

II.

- Droga do Florencyi. — Padwa. — Plac Wiktora Emanuela. —
Echa z Akademii Mickiewicza w Bolonii. — Florencya. —
Dlaczego tu przedewszystkiem mieszkają cudzoziemcy? —
Kolonja polska. — Ordon. — Teofil Lenartowicz. — Ry-
gier. — Wołyński i Muzeum Kopernika. — Kassyno. —
Wycieczka na Colliny i do Fiesole. — Myśli po zwie-
dzeniu pomnika Dantago i mauzoleum Michała Anioła . 17

III.

- Rzym. — Pierwsze wrażenie. — S-ty Piotr i Papieztwa po-
tęga. — Na gruzach świątyni pogańskiej. — Il re ga-
lantuomo w Panteonie. — Ogólny charakter wiecznego
miasta. — Strzembosz, Schemboke. — Rzym nowy
u progów starego. — Wieczorem na Corso i Monte Pin-
cio. — Święty Paweł 52

V.

str.

Roma. — Forum i Colosseum. — Moje myśli w cyrku. —
Co zostało z dumy? — Forum Romanum i Forum Tra-
jana. — To i owo o starym Rzymie. — Termy Dyo-
klecyana i świątynia Westy. — Ślady pracowitości Rzy-
mian. — Katakumby. — „Światło było w ciemnościach
i ciemności go nie pochłonęły“ 77

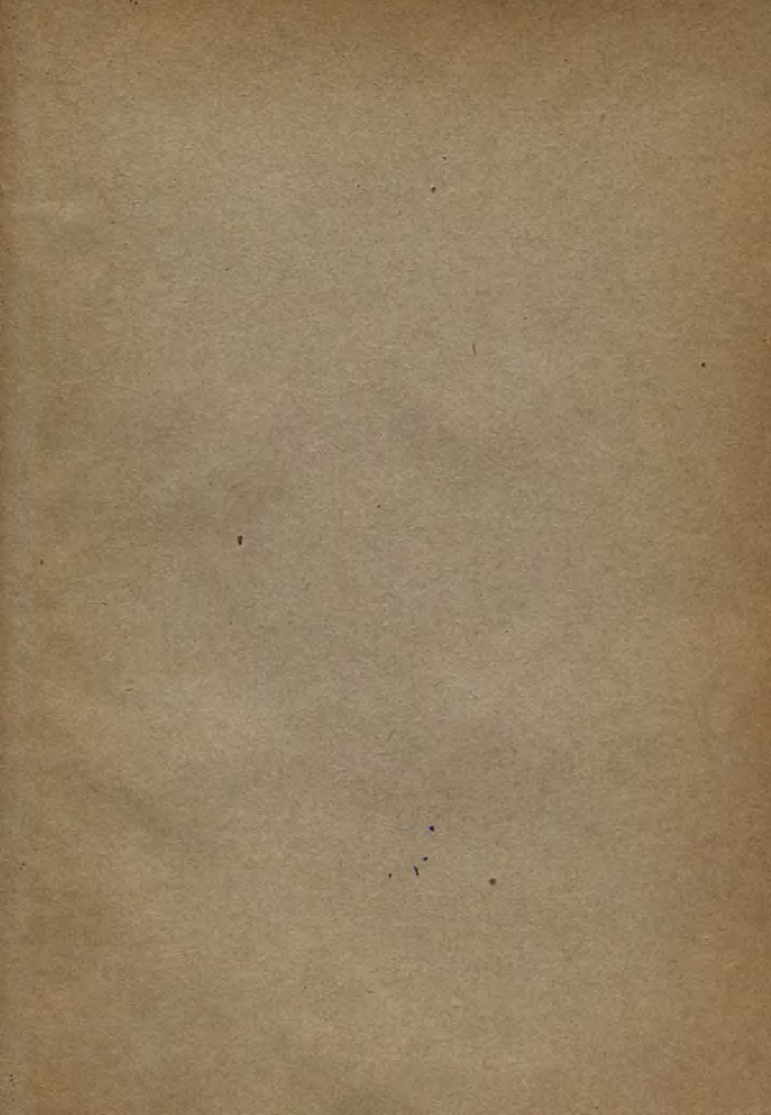
V.

Do Neapolu i w Neapolu. — Widzieć i umrzeć. — Wrażenie
ogólne. — Amfiteatr najpiękniejszy w świecie. — Akwa-
ryum i Muzeum Narodowe. — Posilippo i Grota Lazu-
rowa. — Na Capri i w Sorrento 98

VI.

Do Pompei i w Pompei. — Na Wezuwiuszu. — Zakończenie 118





W. Włodzik
Instytut
Katowice

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000894120



II 24854